

Wood Tonya (Courtney Ryan)

W stronę domu



Jan McMillan jest zawodowym kaskaderem. Niespodziewanie dostaje spadek po pewnej ekscentrycznej wielbicielce i w celu objęcia spuścizny wyjeżdża do małego miasteczka Pleasant Grove.

Już po kilku godzinach pobytu w tym zakątku „na końcu świata” stwierdza, że czeka na niego znacznie więcej niż odziedziczony dom. W sąsiedztwie spotyka młodą wdowę, matkę prześlicznych bliźniaczek - Zofię Parrish. Życie jej jest dokładnym przeciwieństwem życia McMillana. Nie ma w nim miejsca na ekscytujące wrażenia, rozrywki, niespodzianki. Świat Zofii, to kierat szarej codzienności: praca, prowadzenie domu, opieka nad dziećmi. I dopiero bliższe spotkanie z Janem uświadamia jej, jak ciekawe i wspaniałe może być życie.

ROZDZIAŁ 1

Jack McMillan prowadził samochód przez całą noc. Obiecywał sobie, że zatrzyma się w jakimś motelu. Na wschodzie ponad górami rozpościerała się różowa luna jutrzeńki. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak długo jechał.

Jazda autostradą Wielkiego Dorzecza Montany wymagała uwagi.

Nawet o tak wczesnej porze panował tu niemały ruch. Króliki, sarny oraz inne dziwne gryzonie, ryzykując życie, ścigały się z samochodem Jacka. Jack omal nie wpadł do rowu, gdy przed maską jaguara wyskoczyła nagle wiewiórka. Uwielbiał odważne stworzenia, ich zachowanie przypominało mu jego własne wyczyny przed kamerami.

Włączył radio. Pierwszy raz od kilku godzin udało mu się złapać jakąś stację.

Czarowny Lasek musiał być już niedaleko.

Czarowny Lasek. Nazwa wydawała się zabawna. Tam skąd Jack pochodził, w Los Angeles, nie uświadczysz lasu, tym bardziej czarownego. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy to miejsce. Przypomnił sobie stare, dobre Mayber-

ry z szeryfem Andym, fryzjerem Hoydem oraz Gooberem ze stacji benzynowej. Typowe, amerykańskie osiedle, gdzie złe parkowanie samochodu jest wielkim przestępstwem, a każde dziecko ma nosek usiany piegami.

- Powiniennem obciąć włosy - powiedział do siebie. Trzymał kierownicę kolanami, otwierając kolejną paczkę chipsów. - Długie włosy u mężczyzny nie są tam z pewnością mile widziane.

Tydzień temu zadzwonił do niego prawnik. Poinformował go, że został jedynym spadkobiercą po świętej pamięci Agnes Dancie. Ponieważ Jack nie miał pojęcia, kim była ta kobieta, odłożył słuchawkę, traktując wiadomość jako kawał. Był pewien, że wymyślił to jego brat -Patryk.

Patryk był wyjątkowym kpiarzem. Z pozoru poważny, ubrany zwykle jak przedsiębiorca pogrzebowy, nosił w aktówce różne przyrządy do robienia psikusów. Okazało się jednak, że brat był tym razem niewinny. Pan Heard potwierdził swoje słowa stosownymi dokumentami. Testament brzmiał: „Agnes Dancie, zamieszkała w Czarownym Lasku, stan Montana, przekazuje cały swój majątek Jackowi Tate'owi McMillanowi. Na majątek

składają się: dom, Chevrolet impala - rocznik 1965 - oraz parcela budowlana na rogu Dwunastej Ulicy i alei Apple Blossom". Było to niezwykle zrzędzenie losu: tajemniczy testament, dziwna nieznajoma, miasteczko na krańcu świata. Prawnik poprosił Jacka, by przyjechał osobiście w celu dopełnienia formalności. Jack postanowił natychmiast wyruszyć w drogę.

Właśnie miał przerwę w kręceniu filmów, męczyła go już beczynność, więc wycieczka ukochanym jaguarem mogła okazać się znakomitym sposobem na zabicie czasu. Pozostało tylko kilka miejsc na ziemi, których nie odwiedził; Czarow-ny Lasek był jednym z nich.

W czasie jazdy nucił piosenki country, po mistrzowsku omijał wyboje, wypatrywał świecących oczu królików - zwierzęta raz po raz wypadły na jezdnię. Wstawał błądy świt.

Podniszczona tablica informowała: COBBLE GREEK ŻEGNA.

Nawet nie zauważył, kiedy wjechał do tej miejscowości.

- Pewnie miścina - rzekł.

Był już głodny. Z foliowego opakowania wysunął batonik i zjadł w trzech kęsach.

Miał nadzieję, że dotrze do jakiegoś sklepu, zanim skoń-

czą się zapasy. Niektórzy ludzie muszą wypić rano filiżankę kawy, Jack natomiast potrzebował swej codziennej porcji glukozy i białka.

Spojrzał na mapę. W centrum Montany znalazł Czarowny Lasek. Obliczył, że miał do przebycia jeszcze kawał drogi.

Na horyzoncie zauważył coś na kształt wielkiej puszki piwa. Prawdopodobnie silos zbożowy. Minął znak ograniczenia prędkości. Droga wznosiła się, to opadała, przydrożne drzewa oraz ciągle zakręty zamieniły ją w parkową alejkę. Opuścił szybę i wdychał aromatyczną woń lasu, orzeźwiająca mieszaninę zapachu nocy, korzeni i igliwia.

„Będę musiał zabrać trochę tego do Los Angeles. Świeże powietrze w puszcze! Powinno się przyjąć”.

Miejscowość była większa, niż się spodziewał, i bardzo malownicza: farmy otoczone drewnianymi płotami, czarujące domki ze staroświeckimi fasadami, przy każdym zadbane ogródek. O wschodzie słońca wyglądało to szczególnie uroczo. Wiatraczki przeciw szpakom na czereśniach, skrzynki na listy malowane w żółte i czerwone tulipany. Nazwy ulic także były urzekają-

ce: aleja Melodyjna, Gniazdo Przepióreczki, Spokojny Zaulek czy Zaulek Luizy. W sklepie przy alei Konstytucji zrobił zakupy. Skusił się na kruche babeczki, hamburgera i butelkę kakao. Wychodząc spojrzął w niebo. Dawno nie widział tak czystego i intensywnego błękitu. W Los Angeles, pełnym smogu, można zobaczyć na niebie wszystkie odcienie szarości. Jack wyznawał zasadę: „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal”. W związku z tym nie przejmował się za bardzo problemem smogu. Tutaj, na dalekiej prowincji powietrze wciąż było jeszcze świeże i przezroczyste. Aby uczcić niecodzienny dla mieszkańca Los Angeles widok, otworzył butelkę kakao i wznosił toast za pomyślność ekologów., Jakie miłe miejsce” - pomyślał.

O tak wczesnej porze na ulicach nie było żywej duszy. Na skrzyżowaniu leniwie mrugały żółte światła. W tej błogiej ciszy słyhać było niemal, jak rośnie trawa. „Nie chciałbym jednak tutaj mieszkać. Święty spokój będę miał na tamym świecie” - podsumował swoje doznania.

Śniadanie zjadł w samochodzie.

Teraz postanowił pojechać na ulicę Główną do

biura Calvina Hearda. Budynek, w którym mieściło się biuro, bardziej przypominał mieszkanie niż siedzibę kancelarii prawniczej. Pelargonie zdobiły okna, a wzdłuż podjazdu rozciągał się szpaler karłowatego bukszpanu. Obok dzwonka wisiała złota tabliczka z napisem: HEARD AND SMITH. ZESPÓŁ ADWOKACKI.

Dochodziła siódma. Miasto jeszcze spało, tylko nad bukszpanem latały pierwsze pszczoły. Nie miał pojęcia, o której Heard i Smith otwierają biuro. Rozłożył siedzenie i zamknął oczy.

Sophie Parrish jeszcze nic nie jadła, nawet się nie uczesała; zdążyła jedynie umyć zęby. Nie spała od dwóch dni.

Bliźniętom wyrzynały się pierwsze ząbki. Gdy Jessika spała, płakała Jenny. Sophie spacerowała po korytarzu z córeczkami na rękach, starając się je uspokoić, ucierała dzieciom posiłki na tarce, by nie drażnić ich spuchniętych dziąseł. Do znużenia śpiewała kołysanki. Czasem tylko mogła uciąć sobie krótką drzemkę w fotelu na biegunach w dzieciennym pokoju. Orzeźwiała się co jakiś czas zimnym prysznicem, modląc się o chwilę spokoju. Dzieci wychowywała samotnie.

Modlitwy zostały wysłuchane i piętnaście po

dwunastej Jenny usnęła. Sophie zaniósła dziewczynkę do łóżeczka i wróciła po drzemiącą w kojcu Jessikę., Jednak cuda się zdarzają - pomyślała. - Córeczki zasnęły w tym samym czasie". Wiedziała, co musiała teraz zrobić: umyć podłogę w kuchni, umyć naczynia, posprzątać w pokoju.

Najchętniej poszłaby spać.

W kuchence mikrofalowej rozmroziła kilka cynamonowych rogalików i zadzwoniła do sąsiadki.

- Wpadnij do mnie zaraz - rzekła. - Obie dziewczynki śpią, ale nie wiadomo, jak długo to potrwa.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Właśnie trochę odetchnęłam. Przyjdź, wypijemy małą kawkę.

- Niestety, nie mogę. Jestem już umówiona. Przed chwilą Richard dzwonił z biura. Jego sekretarka zachorowała i potrzebuje mnie do wypisywania formularzy. Już zbierałam się do wyjścia.

Sophie spojrzała na rozmrożone rogaliki. Po co, do diabła, ciągle piekę i piekę? Zapycham tylko pieczywem zamrażalnik. Mnie wystarcza sam zapach korzeni i drożdży.

- Dobrze, rozumiem. W takim razie może przyjdiesz po pracy? Dam ci trochę cynamonowych rogalików.

- Czemu nie, teraz się nie odchudzam. Będę

0 wpół do piątej. Czy naprawdę nic ci nie jest? -dodała łagodnym głosem.

- Oczywiście, że nie. Wszystko w porządku -uśmiechnęła się gorzko. - To do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę. Wszystko w porządku? Jeszcze nie... ale kiedyś się unormuje, Gdy dwa lata temu Michael zmarł na atak serca, jej świat rozleciał się na kawałki. W wieku trzydziestu pięciu lat nie umiera się na serce! Od tego czasu zamknęła się w sobie, a dni i noce stały się beznadziejnie podobne do siebie.

Dopiero później dowiedziała się, iż Michael nie zostawił jej samej. Przyszły na świat cudowne bliźniaczki, które przywróciły jej radość życia. Dwie małe, różowe kulki. Starala się być dzielna, choć nie było to łatwe.

Miała teraz godzinę lub dwie wolnego czasu

i zastanawiała się, jak go wykorzystać. Stała przy zlewie: „Może by go wyszorować? Co za idiotka ze mnie. Jaka kobieta myśli, że odpoczywa się przy myciu zlewu?" - zamyśliła się głęboko.

Wyjrzała przez okno.

„Może zgrabić liście z trawnika? Nie, to przecież też praca”. Postanowiła dzisiaj nie pracować - „A strzyżenie żywopłotu? To chyba też praca. Do diabła, obejrzę kolejny odcinek jakiegoś serialu i pomaluję sobie paznokcie” - zdecydowała.

I wtedy właśnie zauważyła srebrzysty, sportowy samochód, który zajechał przed dom niedawno zmarłej sąsiadki.

Był to jaguar z kalifornijską rejestracją.

Sąsiadka, pani Agnes Dancie, odeszła miesiąc temu. Domu jeszcze nie sprzedano.

Sophie pocztą pantoflową dowiedziała się, że Agnes zapisała w testamencie wszystko dalekiemu krewnemu z Zachodniego Wybrzeża. Jak dotąd nikt z rodziny nie pojawił się w Czarownym Lasku. Zmarła była dziwną kobietą. Rzuciła kamieniami w samochody poczty, a swojego teriera wozila w wózku dla lalek.

Sophie nie mogła uwierzyć w pokrewieństwo Agnes z kimś, kto jeździł samochodem za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Współczuła człowiekowi, który będzie musiał porządkować rzeczy po zmarłej. Kimkolwiek był, czekają go niezłe problemy.

Usłyszała pukanie do drzwi sąsiedniego do-

mu, a potem wściekle ujadanie psa. Tylko Baron von Muffin, bardzo ostry pies pani Agnes, miał taki głos. Przed domem stał wysoki mężczyzna i zaglądał przez okno. Przybysz ignorował ujadanie psa. Ręce trzymał w kieszeniach dżinsów. Biała koszula trzepotała na wietrze. Sophie ujął jego młodzieńczy wygląd. Nieznajomy przeskoczył przez płot, zostawiając po drugiej stronie ujadającego psa. Wchodząc na ganek domu Sophii, podniósł poranne gazety. W słońcu lśniły jego włosy.

„Zdaje mi się, że chce mnie odwiedzić... Och nie! Na pewno będzie dzwonił!” - Rzuciła się do drzwi. - „Może jeszcze zdążę”. W domu nosiła miękkie kapcie. Bardzo wygodne i ciepłe, ale trudno było w nich biegać po parkiecie. Długim ślizgiem przejechała wzdłuż korytarza, otwierając w biegu drzwi.

- Niech pan nie dzwoni! - wyszeptała, celując palcem w pierś mężczyzny.

- Wcale nie zamierzałem - odpowiedział również szeptem. - Jak pani widzi, właśnie miałem zamiar pukać.

- Przepraszam. - Odgarnęła włosy z czoła. „Jestem przewrażliwiona na punkcie moich „skarbów” - pomyślała. To już obsesja”.

Dopiero teraz mogła dokładniej przyjrzeć się przybyszowi. Nie był tak wysoki, jak się jej wydawało. Miał zielone oczy oraz pogodną, pełną wyrazu twarz. Brązowo-złocisty kolor włosów był prawie identyczny jak karnacja jego cery.

Na widok młodej gospodyni nieznacznie uśmiechnął się. Wpatrywał się w nią z równym zainteresowaniem jak ona w niego.

- Muszę odłączyć dzwonek - powiedziała.

- Boi się pani głośnych dzwonków?

- Ja nie, ale... Mniejsza o to. W czym mogę panu pomóc?

- Pozwoli pani, że się przedstawię: Jack McMillan. - Wręczył jej gazety i wyciągnął dłoń. - Będę mieszkał przez kilka dni obok. Właśnie przyjechałem z Los Angeles i muszę załatwić podłączenie prądu.

- Proszę, niech pan wejdzie. Nazywam się Sophie Parrish. - Uścisnęła mu rękę. - Pewnie chce pan skorzystać z telefonu. Bardzo proszę, stoi tam.

Wszedł do pokoju pełnego słońca, kwiatów i zabytkowych bibelotów. Pastelowy kolor ścian, meble z wiśniowego drewna - to nie było w jego guście.

- Krążą plotki, że ktoś z Kalifornii ma przyje-

chać i odebrać spadek po pani Dancie - zagadnęła Sophie. - To pewnie właśnie pan.

-Tak, to ja.

- Musi być teraz panu ciężko?

- Nie, wcale - odpowiedział. Uśmiechnął się.

Sophie miała długie, jasnoblond włosy. Podobała mu się troska, z jaką pytała o jego stan ducha. Zainteresowała go. Zauważył żółtą plamę na jej koszulce i pomyślał, że może jest artystką malarką. Wyglądała na artystkę: jasna twarz o bladej cerze, sarnie oczy... Pomyślał, że ma chyba szczęście.

- Tu jest telefon. - Wskazała antyczny stolik obok krętych schodów. - Bardzo mi przykro. Pani Dancie była osobą bardzo miłą.

Nikomiu nie wadziła. „Z wyjątkiem samochodów pocztowych” - dodała w duchu.

- Nie potrzebuje pan książki telefonicznej?

- Owszem - odparł.

Na ścianie zauważył akwarelę. Zastanawiał się, czy to dzieło gospodyni. W dolnym rogu obrazu widniał podpis, ale stąd nie mógł go odczytać.

Sophie wyciągnęła z biurka mały spis telefonów.

- Miła staruszka... - powiedziała. - Jej ogród

róż zdobył nagrodę Ligi Młodzieżowej. Dostała Zielony Puchar.

- Kto? - zapytał zdziwiony.

- Agnes Dancie.

- Ach, tak. - Podobała mu się twarz nowej znajomej, nie umalowana, świeża. Ta kobieta nie używała chyba perfum, a mimo to pachniała tak słodko, jak noworodek.

- Przepraszam, jestem taka niedelikatna. Pewnie nie chce pan o niej rozmawiać?

- O kim?

- O pani Agnes. - Z troską wpatrywała się w gościa.

- No tak, oczywiście. Muszę pani coś powiedzieć. Nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety. Przynajmniej nie pamiętam tego.

Sophie ogarnęły złe przeczucia. Przypomniała sobie wszystkie straszne sceny z horrorów. Zmierzyła wzrokiem odległość do dużego parasola stojącego przy drzwiach.

- Zanim przesyje mnie pani na wylot tym parasolem - powiedział pospiesznie - proszę mnie wysłuchać. Nie jestem bandytą ani oszustem. Naprawdę legalnie otrzymałem ten spadek. I sam nie wiem dlaczego. Kilka tygodni temu adwokat poinformował mnie o testamencie pani

Dancie. Aż do tamtej chwili nie słyszałem o tej staruszce.

- Nie znał pan jej?

- Nie. Byłem tak samo zdziwiony jak pani. Adwokat mówił, że nie miała żadnej najbliższej rodziny, ale też nie potrafił wyjaśnić, dlaczego wybrała właśnie mnie.

- Strasznie to dziwne. Jak z filmu Hitchcocka.

- Jak widzę, myślimy podobnie. Intryguje nas nieznanne.

Nieznanne... Spodobało się to Sophie. Dotychczas największą tajemnicę stanowił sen bliźniaczek. Nigdy nie umiała przewidzieć, kiedy się obudzą. Jej życie było tak monotonne: kąpanie, karmienie, siusianie, karmienie, pieluszki, spanie... Tak mijał cały dzień.

- Jesteśmy chyba bratnimi duszami - powiedziała.

Patrzył zaintrygowany na Sophie. Nigdy nie krył swoich uczuć. Dawno już żadna kobieta nie zrobiła na nim tak oszalamiającego wrażenia.

- Musi pan zadzwonić - przypomniała. - Zostawię pana samego.

- Proszę tego nie robić - rzekł miękko. - Jeśli zatelefonuję, nie będę miał śmiałości, by tu zostać. Z pewnością zdaje sobie pani sprawę, czym

może skończyć się dla mnie czekanie na dworze. To najbardziej krwiożerczy kundel, jakiego miałem nieszczęście spotkać. - Obejrzał ślady zębów na obcasach. - Niestety, tego psa także odziedziczyłem. Chyba mnie nienawidzi.

- Baron von Muffin nienawidzi wszystkich.

- Marne pocieszenie. Adwokat nie zdążył mi powiedzieć, jak wabi się ten pies. Jak pani go nazwała?

- Baron von Muffin. W skrócie Muffin. - Zauważyła na swojej koszuli plamę od przecieru marchewkowego.

Podczas karmienia dziewczynek zawsze się brudziła. Splotła ręce na brzuchu, by ukryć plamę. - Pani Dancie świata poza nim nie widziała - dodała.

- Nie musi mi pani mówić. W testamencie zrobiła cały ustęp dotyczący psa. - W holu zauważył pluszowego misia. „Zabawki? A więc ma dzieci i męża, który codziennie o piątej wraca z pracy”. - Rzucił okiem na jej ręce, szukając obrączki. - „Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem? Czemu nie przyszło mi do głowy, że ona może być zamężna?” - Ma pani dzieci? - spytał wprost.

- Tak. Półtoraroczne bliźniaki. Właśnie śpią.

„Dokładnie jak w filmach Hitchcocka. Całkowite zaskoczenie” - myślał. Wyobraził sobie Sophie witającą w drzwiach wracającego z biura męża. Spojrzał na zegarek.

- Nie będę pani przeszkadzał...

- Ale jeszcze pan nie zadzwonił do...

- Byłbym zapomniał. Dziękuję za przypomnienie.

- Z przyjemnością pomogę. Tutaj ma pan numer.

„Nic dziwnego, że pachniała jak zasypka dla dzieci”.

Ale ciągle jeszcze nie mógł oderwać od niej oczu.

W pokoju Sophie znajdował się kominek. Nie był zbyt praktyczny. Dymił i nigdy nie było wiadomo, czy szyber jest otwarty, czy zamknięty. Poza tym, dziewczynki ciągle wchodziły do środka i brudziły się sadzami. Dlatego, gdy było jej zimno, używała elektrycznego koca.

Tej nocy czuła się nieswojo. Anielska odmiana w zachowaniu dzieci pozwoliła trochę odetchnąć. Na dworze, jak zwykle pod koniec lata, padało. Nie było zimno, ale zatęskniła do trzaskającego w kominku ognia. Wbrew rozsądkowi

wyjęła z paleniska paprocie, a potem ułożyła niezgrabnie kilka dużych kłód.
„Powinny galić się przez kilka godzin. Skauci robią to inaczej, ale ważny jest efekt”.
Zgasła światło i usiadła ze skrzyżowanymi nogami przy ogniu.
Pomyślała o dzisiejszym zdarzeniu, o uśmiechu mężczyzny, o tym, jak przypatrywał się jej z nieukrywaniem zainteresowaniem. Uśmiechnęła się wspominając reakcję gościa na wiadomość o dziewczynkach. Dzięki temu została pewnie zakwalifikowana do grona godnych szacunku matron. Nie miała zamiaru wyprowadzić go z błędu. Z całą pewnością jednak nie chciała uchodzić w jego oczach za straconą dla świata.
Podeszła do okna. Z okapu monotonicznie spadały krople deszczu. W sąsiednim domu paliły się już światła. Zastanawiała się, kim był Jack McMillan.
Poszła do pokoju dzieciennego. Usiadła w fotelu na biegunach i pogrążyła się w myślach.

ROZDZIAŁ 2

Jack obudził się o wschodzie słońca. Na jego łóżku leżał Muffin, którego tam nie było, gdy szedł spać. Pies usadowił się wygodnie na pościeli i warczał groźnie, ilekroć nowy pan na niego spojrział. Jack zastanawiał się, czy pies był szczepiony przeciw wściekliźnie.

Postanowił przejść na kanapę i jeszcze pospać. Pokój zavalony był stertami książek i gazet. Nawet Hitchcock nie wymyśliłby lepszej scenerii. Po nocy na twardym jak kamień materacu, Jack czuł się cały obolały. Marzył o ciepłym prysznicu. Nie wiedział jednak, co zrobić z tym przeklętym psem. Gdy próbował wstawać, Baron szczyrzył zęby. Słyszał kiedyś, że najlepszym sposobem obrony przed niedźwiedziami było udawanie martwego. Co prawda Muffin to nie grizzly, ale istniała szansa, że metoda poskutkuje.

Z opresji wybawił go dzwonek u drzwi. Bestia, ujadając, błyskawicznie zeskoczyła z łóżka. Korzystając z nieuwagi psa, Jack szybko wstał.

- Nienawidzę tego zawszonego kundla -mruknął, wciągając spodnie. - Przebiegł bosy

przez korytarz. - Zrobię mu coś złego. Obiecuję. Złapię i... - Skręcał do salonu, gdy pies odwrócił się w jego stronę. - Cześć, pieseczku. Jaki dobry piesek. Nie będziemy warczeć na starego. Co będzie, jeśli Jack zapomni cię nakarmić?

Terier szczeknął, po czym zajął strategiczną pozycję na sofie.

Jack podszedł do drzwi i lekko je uchylił.

- Kimkolwiek jesteś, mam nadzieję, że posiadasz broń. Tutaj jest strefa działań wojennych! -krzyknął przez szparę.

- To ja, Sophie Parrish.

Sophie? Zameżna Sophie. Matka bliźniaczek. Serce zabiło mu mocniej.

- Jeśli wypuszczę psa na dwór, to ucieknie? -spytał.

- Nie. Jest przyzwyczajony do biegania po ogródku - odpowiedziała rozbawiona.

Otworzył drzwi. Sophie miała na sobie džinsy oraz koszulę w paski. Koszula była za duża, ale znakomicie pasowała do błękitnych spodni. Z rozpuszczonymi włosami Sophie wyglądała ślicznie.

„Przecież jest mężatką” - upomniał siebie w myślach,

- Obudziłyśmy pana. Tak nam przykro. Myślałyśmy, że pan już nie śpi.

-My?

Za Sophie stał wyjątkowo szeroki wózek.

Dwa maluchy rozglądały się błyszczącymi jak cekiny oczkami, gryząc małe piąstki.

Były bardzo podobne do matki.

- Czyżbym widział podwójnie?

- Nie. Widzi pan Jenny i Jessikę. - Widok półnagiego mężczyzny zmieszał ją. - Jenny to ta z wiśniowym dżemem na brodzie. Powiedzcie panu „dzień dobry”, aniołki.

Jenny wyciągnęła z ust rączkę i uśmiechnęła się szeroko, zaś Jessika wykrzywiła buzię i sięgając rączką do butów, powiedziała: - Nie kce.

- Kochanie, na dworze musisz nosić buciki -powiedziała Sophie, po czym zwróciła się do Jacka: - Przepraszam za najście, ale potrzebuję węża. Zostawiłam go tutaj kilka dni temu, podlewając kwiaty.

- Opiekowała się pani trawnikiem? - zdziwił się, patrząc na zadbaną trawę.

- Tak. Nie zabrało mi to dużo czasu, bo w ogrodzie najwięcej miejsca zajmują kwiaty.

- Pani kosiła? - Nie podobało mu się to. Gdzie

był jej mąż? Dlaczego sam nie skosił tego cholernego trawnika? - To bardzo miło - dodał.

- Nic takiego, proszę mi wierzyć. Wiem, jak trudno jest doprowadzić do porządku mój trawnik, gdy zaniedbam go przez kilka tygodni.

- Pani musi lubić pracę w ogrodzie.

- Nie myślałam o tym. Ale z pewnością nienawidzę malowania. Zeszłej wiosny podczas malowania spadłam z drabiny i skręciłam nogę. To osłabiło mój zapał do prac domowych. - Czuję się dziwnie, stojąc przed tym mężczyzną. - „Albo czymś go uraziłam, albo on odczuwa większą awersję do prac przy domu niż ja” - myślała.

-Pójdę zająć się czymś pożytecznym. Może później będę panu w czymś pomocna.

- Dziękuję. Z pewnością skorzystam z pani pomocy - odparł.

Zamknął za nią drzwi. „Zeszłej wiosny podczas malowania spadłam z drabiny”. Miał wielką ochotę zapytać, gdzie, do diabła, podziewał się jej mąż, ale przecież to nie jego sprawa. Sophie była bardzo miłą kobietą i niewątpliwie zasługiwała na dobrego męża. Może małżonek miał uczulenie na trawę i na malowanie?

Baron von Muffin wysunął łeb z pokoju i spokojnie przyglądał się panu.

- Zdecydowałeś się okazać mi trochę szacunku, co?

W odpowiedzi Muffin podbiegł do lampy w salonie i podniósł tylną łapę.

Sophie zajęła się porządkami wokół domu. Usunęła zbędne rzeczy, a potem zaczęła grabić pożółkłe liście. Przez cały czas czuła na sobie czyjś wzrok. Nie mogła uwolnić się od tego wrażenia. Raz czy dwa spojrzęła na sąsiedni dom; Jack McMillan pewnie miał ciekawsze zajęcia niż podglądanie jej. Wózek z bliźniaczkami zostawiła pod śliwą i dała im po butelce soku winogronowego. Powinny być spokojne przez najbliższe pół godziny. Dawało jej to wystarczająco dużo czasu, by zgrabieć liście, wynieść pojemniki na śmieci i przesadzić pelargonie. Cieszyła się ze swojej pracy, nie dręczyły jej przynajmniej myśli. Widząc dziś rano zaspanego Jacka ze zmierzwioną czupryną, przypomniała sobie inny sobotni poranek, gdy Michael prosił o jeszcze kilka minut w łóżku.

- Mama! - usłyszała.

To była Jenny. Stała niepewnie, trzymając się poręczy wózka.

Skończył się czas spokoju. Sophie przeniosła dziewczynki na podwórko ogrodzone płotem ze

sztachet. Tam mogły bawić się w piaskownicy, a ona mogła zakończyć sprzątanie i układanie kompostu. Znowu odniosła wrażenie, że ktoś się jej przygląda.

Błyskawicznie odwróciła głowę i zauważyła błysk w oknie.

„Nie bądź głupia - pomyślała. - Nikt cię nie podgląda. Mężczyźni zbyt cię szanują”.

Właśnie miała podlewać trawnik, gdy usłyszała głośny płacz dziewczynek. Szybko podbiegła w stronę piaskownicy, ale dzieci tam nie było. Rozejrzała się i zobaczyła Jessikę zanurzoną po szyję w astrach. Po Jenny nie było śladu.

- Mama! Włożyła! - płakała Jessika.

- Co włożyła? Gdzie jest Jenny? Gdzie twoja siostrzyczka?

-Włożyła!

Sophie nie zauważyła Jenny, póki prawie na nią nie nadepnęła.

Córeczka leżała na brzuchu, a jej głowa tkwiła między sztachetami płotu.

- O, moj Boże! - schyliła się nad dzieckiem. -Nic ci nie jest córeczko? Jessika, nie płacz, nie pomożesz tym siostrze.

- Nie - odpowiedziała spokojnym tonem Jenny.

- Może spróbujemy? - Lekko pociągnęła córkę.

**- Auuu! - Jenny krzyknęła, a Jessika znów rozplakała się.
- Pięknie się urządziła - dobiegł głos Jacka. -Zanosi się na to, że zostanie tu na wieki.
Stał po drugiej stronie płotu. - Może spróbuję rozsunać sztachety, a pani wtedy ją wyciągnie.**

Uklęknął na mokrej ziemi.

- Gotowa? Trzy-cztery!

-Nie! -zachlipała Jessika. Miała policzki mokre od łez.

- Nie płacz Jessiko, twojej siostrzyczce nic złego się nie stanie - rzekł Jack. - Jenny, możesz wyciągnąć głowę?

Łagodny ton jego głosu poskutkował i maluchy uspokoiły się.

Próbowali różnych sposobów, ale bez rezultatu. Sophie zaczynała tracić głowę. Jack zdawał sobie sprawę, jak bardzo na niego liczy.

- Olej! - wpadł nagle na pomysł - albo masło... Trzeba posmarować główkę czymś śliskim i wtedy spróbować. Jeśli się nie uda, zadzwonimy po straż pożarną.

Sophie pobiegła szybko do kuchni, a za nią drobnymi kroczkami Jessika. Znalazła butelkę oleju sojowego i wybiegła na podwórko. Po drodze wzięła na ręce Jessikę. W chwilę później

Jenny była wolna. Z posklejanymi włoskami uśmiechała się do wszystkich i wyglądała bardzo zabawnie.

- Jej pierwszy chrzest olejowy - powiedziała czule Sophie, kucając wśród astrów. - Zza płotu uśmiechał się umazany w błocie Jack. - Nigdy nie wiadomo, co znów zrobią kochane maleństwa. Nie wyobrażam sobie, co bym zrobiła bez pana.

- Zadzwońliby pani po straż pożarną, a oni rozebraliby cały płot. Piękna niespodzianka dla męża.

Sophie zbladła. Jack już wiedział.

- A to co? - usłyszeli piskliwy głos. - Czyżby zapasy błotne wreszcie zawitały w te strony? Wiedziała, że kultura dotrze do Czarnego Lasku prędzej czy później - Kim Christy stała przy płocie po stronie Sophie, wpatrując się w Jacka.

- Dużo straciłam, wstając tak późno.

- Jenny wsadziła głowę między sztachety -wyjaśniła Sophie. Wstała, otrzepując spodnie z liści i błota. - Żeby ją wyciągnąć, musiałam poprosić pana o pomoc. I zużyć butelkę oleju. Chyba jeszcze się nie znacie?

- Nie - powiedziała Kim. - Nowy przyjaciel? Jack wytarł rękę w spodnie.

- Tymczasowy sąsiad - wyciągnął dłoń. -Jack McMillan.
 - Kim Christy. - Utkwiła spojrzenie w diamentowym kolczyku, który nosił w lewym uchu.
 - Pan jest dalekim krewnym Agnes Dancie?
 - Chyba nie. - Spoglądał ukradkiem w stronę Sophie. Jej twarz była bez wyrazu.
 - Musisz wyciągnąć z pana tę bardzo dziwną historię - rzekła Sophie do Kim.
- Podniosła obie córeczki z ziemi. - Posłuchaj opowieści o tajemniczym testamencie, a ja tymczasem umyję brzdące. Jeszcze raz panu dziękuję.
- Ruszyła do domu. Wiedziała, że Jack patrzy na nią. Przyjemne mrowienie rozchodziło się po plecach.
- Nie podglądał już Sophie. Zmienił się jego stosunek do niej, gdy zorientował się, iż była wdową. Wolał zachować dystans. Żona czy wdowa - tak samo niedostępna. Ona należała do swoich dzieci i żyła pamięcią o zmarłym mężu. Z kolei on należał do... samego siebie. Zrozumiał, że jego wysiłki są daremne i postanowił się kontrolować.
- Popołudnie i wieczór spędził sortując dokumenty po Agnes Dancie.

Pracował, dopóki nie poczuł głodu. Spojrzał na zegarek, była północ.

Poszedł do kuchni i otworzył puszkę gotowych kielbasek.

Połowę dał Muffinowi. Gdyby spodziewał się, że tak długo tu zostanie, zrobiłby rano zakupy. W trakcie jedzenia sporządził listę zakupów na następny dzień: kawa, chipsy, krakersy, batoniki, mrożonki. Słyszając hałasującego w kuchni Muffina, dopisał pokarm dla psa.

Zmywając naczynia, wyjrzał przez okno. Nad gankiem sąsiedniego domu paliła się mosiężna lampa. W jej świetle zauważył Sophie bujającą się na huśtawce.

Wyszedł tylnymi drzwiami, przeskoczył przez płot i skierował się w stronę ganku.

Sophie zauważyła go.

- Przyszedłem pożyczyć szklanek cukru - powiedział.**
- Cukru? - była rozbawiona. - W środku nocy?**
- Ewentualnie szklanek chipsów. Nawet wołałbym chipsy.**
- Niestety, nie mam chipsów, ale służę utartymi warzywami.**
- Nie jestem w aż tak trudnej sytuacji. Możemy porozmawiać?**

Po krótkim namyśle podała mu poduszkę.

- Proszę usiąść - rzekła. - Czy woli może pan wejść do środka? Tam jest cieplej.

- Nie, tu jest świetnie - usiadł. - Mówmy do siebie po imieniu, dobrze?

- Dobrze - odparła Sophie.

- Jak się czuje Jenny?

- Nieźle. Nigdy nie miała tak delikatnych włosów jak po tej olejowej kąpieli. Była piękna. Jack doznał pragnienia przytulić ją.

- Wyjątkowo ciepła noc - powiedział.

- W tym roku będzie łagodna jesień. Nie spodziewałam się tego. Klimat w Montanie jest przecież ostry. Kiedy pierwszy raz przyjechałam tu z Los Angeles, myślałam, że to biegun północny.

- Los Angeles? - Jack nie mógł sobie wyobrazić Sophie w zadymionym mieście. - Mieszkałeś w Los Angeles?

- Urodziłam się tam. Tam też spotkałam...

- Swojego męża - powiedział cicho. - Kim powiedziała mi o Michaelu. - Jaki on był?

- Był... łagodny. Zawsze wiedział, co powiedzieć. Był lekarzem. - Nieznacznie się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami. - Nie umiem ładnie mówić.

- Byliście szczęśliwi, prawda?
 - Zawsze.
 - Cieszę się - rzekł starając się, by wypadło to przekonywująco.
 - Jesteś miły - powiedziała, dotykając jego ramienia. - Prawdziwy z ciebie dżentelmen.
 - Prawdziwy diabeł.
 - Raczej anioł - roześmiała się.
- „Gdybyś wiedziała, co dzieje się ze mną po dotknięciu twojej ręki, nie mówiłabyś tak”.
- Niech będzie. Jestem aniołem, ale zmienmy temat.
 - W porządku. Porozmawiajmy o tobie. Jack skrzywił się.
 - Nie udawaj. Wszyscy mężczyźni lubią mówić o sobie. Co robisz poza dziedziczeniem spadków?
- Westchnął. Ludzie zwykle nie rozumieją, dlaczego zarabia na życie skacząc z budynków i rozbijając samochody. Właściwie on sam tego nie rozumiał.
- Pracuję w filmach jako...
 - Jesteś aktorem?
 - O nie! Praca aktorów jest nudna. Ja robię różne, śmieszne rzeczy. Jestem kaskaderem. Spadam z koni, skaczę w ogień... i tak dalej.

- Śmieszne rzeczy - powtórzyła z przekąsem.
 - Jako dziecko przewróciłem się - i tak mi zostało.
 - Lubisz tę pracę?
 - Tak, lubię. Nigdy się nie nudzę, zarabiam całkiem nieźle, podróżuję po całym świecie, czasem coś sobie łamię. Czemu miałbym tego nie lubić?
 - „Siedzimy sobie na ganku - myślała Sophie z rozbawieniem - kaskader i wdowa. On skacze z wieżowców, ona pierze pieluszki. Niezbyt dobra podstawa do nawiązania trwałej znajomości”.
 - Nasze miasteczko musi wydawać ci się strasznie spokojne. Odkąd przyjechałeś, ani razu nie ryzykowałeś życia.
 - Jak to nie?! Przecież mieszkam razem z potworem z piekła rodem! Ten pies bez przerwy dybie na moje życie. Naprawdę!
 - Przynajmniej się nie nudziłeś. - Poczowała pulsowanie w skroniach.
 - Nie. - Pogładził ją delikatnie po policzku. -Nie nudziłem się.
- Sophie wstała nagle, uderzając głową o belkę. Zamknęła oczy, czekając, aż minie ból.

-Boli-jęknęła.

- Nic ci się nie stało? - spytał Jack, wstając. -Pozwól mi zobaczyć.

- Nie! - Cofnęła się. - Muszę już iść. Jest bardzo późno.

- No cóż... Spojrzał bez entuzjazmu na dom pani Dancie. Zastanawiał się, w którym kącie przyczaił się Muffin. - Ja też muszę już iść. Mam w domu siatkę pełną rachunków.

- Jaką siatkę?

- Pani Agnes miała własne sposoby na przechowywanie dokumentów.

- Tak, ona była bardzo oryginalna. Wiesz, co rozdawała w czasie ostatniego Halloweenu? Ko-ktail owocowy.

- Niemożliwe!

- Naprawdę. A rok wcześniej cukierki miętowe. Naraz dał się słyszeć płacz i stukanie dochodzące z pokoju na piętrze.

- Och, mam nauczkę. Jenny w nocy nie śpi, odkąd zaczęły rosnać jej ząbki.

- To przypomina wbijanie gwoździ.

- Jenny wali pustą butelką o barierkę przy łóżeczku. Muszę już lecieć, bo obudzi Jessikę.

Jack odprowadził ją wzrokiem. Nie wiedział, jak nazwać to uczucie. „Nie bój się przyznać

przed sobą, ty egocentryku - czujesz się porzucony".

W kałuży na podwórku zobaczył porzuconego tam pluszowego misia. Podniósł go, otrzepał i położył na huśtawce. - Słodkich snów - powiedział.

ROZDZIAŁ 3

- Cześć! Niestety, nie mogę ci pomóc wybrać arbuza.

Sophie odniosła wrażenie, że się przesłyszała. Spojrzała w górę i ponad piramidą pomarańczy ujrzała jakiegoś chłopaka.

- Słucham?

- Nigdy nie wiem, jak wygląda dojrzały. - Kasztanowate włosy sięgały mu do ramion. Twarz pokrywał lekki zarost. Chłopak miał nie więcej niż osiemnaście lat. - Z chęcią usłyszałbym kilka porad. - Oparł się o sklepowy wózek. - Jak widzę, znasz się na tym. Gdy ścisakałaś arbuzy, aż sok tryskał.

- Nie ma potrzeby ich ścisakać - odrzekła Sophie. - Wystarczy powąchać.

- Czekał! - Przesunął wózek o kilka centymetrów.

- Zastanawiam się, czy znasz moje zasady. Powinienem od razu ci to wyłożyć. Nie mógłbym pomóc, jeśli idzie o...

- ...arbuzy -podpowiedziała słodko. Nie znała tego typka, ale szybko zaklasyfikowała go jako sklepowego żartownisia.

- Słuchaj, to nie w moim zwyczaj... Uwierz mi. Ale gdy zobaczyłem cię tutaj, coś mi przyszło do głowy. Wiesz, o co chodzi? Życie jest za krótkie, by nie korzystać z tych rzeczy. No, chyba rozumiesz?

- Przepraszam - powiedziała - muszę wziąć banany.

- Banany. Mógłbym też sobie parę zjeść. - Toczył swój wózek obok Sophie. - Mam na imię Eryk. Pracuję tam, w „Fill'N'Go”. A ty jesteś...

- Ciężko poturbowana, właśnie przejechałeś mi wózkiem po nogach.

Wlepił wzrok w Sophie.

- Bardzo mi przykro! Boli cię?

Było jej duszno, jakby panował wielki tłok.

- Jeśli nie masz nic przeciwko...

- Pewnie, że nie. - Odsunął się trochę, by mogła wziąć banany. - Słuchaj, co byś powiedziała na małe spotkanko? Tak, tylko żeby porozmawiać, nawiązać bliższy kontakt.

Zabrałbym cię na lody do fajnej knajpy kilka ulic stąd.

„Pewnie przed sklepem stoi jego deskorolka” - pomyślała.

- Słuchaj, Eryku... - zaczęła.

- Cześć, kochanie. Dostałem chipsy - usłyszała. Odwróciła głowę i ujrzała zbliżającego się Ja-

cka. W jasnoszarej koszuli wpuszczonej w szerokie dżinsy, w kapeluszu kowbojskim zsuniętym na tył głowy prezentował się wspaniale. Dzisiaj była przecena: pół ceny plus kupon na baton.

- Świetnie. - Tylko to jej przyszło do głowy. Jack uśmiechał się do biednego Eryka, który

stał jak zahipnotyzowany obok sterty bananów.

- Moja żona szaleje za tym - powiedział do chłopaka. - Dzięki temu właśnie ma tak zabójczą figurę, jak tyczka fasolowa.

- Słucham? Tyczka fasolowa? - Sophie patrzyła pytająco na Jacka.

- Cześć! Muszę lecieć. - Eryk szybko odszedł, nie oglądając się za siebie.

- Dlaczego nie został i nie walczył o ciebie? - spytał Jack. - Ach, te sklepowe romanse!

- Co tutaj robisz? - spytała Sophie chłodno. Uraził ją tą „fasolową tyczką”.

- Zapasy - powiedział.

Jego wózek wypełniały same spożywcze „śmiecie”: chipsy, paluszki, batoniki.

Jedynym wartościowym produktem była puszka z etykietą: „Pluto - pokarm dla psa”.

- Chyba żartujesz. Zamierzasz utrzymać się przy życiu jedząc to wszystko?

- Oczywiście, że nie wszystko. Pluto będzie jadł Muffin.
- Trzymaj. - Wręczyła mu kiść bananów. -Potrzebujesz tego bardziej niż ja. Włożył posłusznie banany do wózka. Pomyślał, że będzie miał jeszcze dość czasu, by je gdzieś zostawić.
- Powiedz mi, czy nie przeszkodziłem ci przypadkiem w nawiązaniu interesującej znajomości?
- Niezupełnie. W momencie gdy nam tak gru-biańsko przerwałeś, proponowałam temu chłopcu adopcję.
- Aj! Ja zostałem potraktowany łagodniej. Wszystko przez to, że nie zabierasz bliźniaków na zakupy, kochanie. Dziarscy chłopcy zawsze podrywają fajnie wyglądające małolaty. -Uświadomił sobie, iż nie miał pojęcia, ile ona mogła mieć lat. Nie dziwił się jednak, że wyrostki podrywali ją. - Sophie, czy nie jesteś przypadkiem fajnie wyglądającą małolatą?
- Nie! Jestem tyczką fasolową!
- To był żart! Gdzie idziesz?
- Po brokuły.
- Nie wygłupiaj się. - Ruszył za nią. - Zechcesz powiedzieć mi, ile masz lat?

- **Blokujesz przejście. Jedź za mną albo przede mną.**
- **Przepraszam, że nazwałem cię tyczką fasolową. Właściwie to nie widzę dużego podobieństwa. Bardziej jesteś podobną do... dyni. Wybaczysz mi?**
- **Uspokój się. - Sophie pomachała do wielkiej jak słoń kobiety.**
- **To Amanda Leadbetter, brydzowa partnerka mojej teściowej.**
- **Przepraszam - powiedział. Szybko wyrzucił kiść bananów na stos czerwonej kapusty. - W świeżych warzywach jest coś, co rozpala zmysły. Czy dlatego je kupujesz?**
- **Tak, ale teraz mam ochotę tylko na aspirynę, bo od twojego gadania zaczyna boleć mnie głowa.**
- **Nie cieszysz się z wycieczki po supermarkecie?**
- Jego serdeczny uśmiech całkowicie ją rozbroił.**
- **Skąd wzięłaś taki kapelusz? - spytała.**
- **Nie podoba ci się?**
- Znalazłem go w starej skrzyni na poddaszu. Miałem nadzieję, że będę wyglądał w nim jak sam John Wayne:**
- „Niezupełnie jak John Wayne - pomyślała. -Zbyt długie włosy, lobuzerskie dołki na policz-**

kach. Wyglądasz na niegrzecznego chłopczyka, który podkrada słodycze, gdy mamy nie ma w kuchni".

- Wayne nie nosił kolczyków.**
- To szczegół. Ile masz lat?**
- Uwierzysz, że trzydzieści osiem?**
- Nie uwierzę. - Ominął stos puszek z tuńczykiem.**
- Jeśli powiem dwadzieścia jeden, to uwierzysz?**
- Może...**
- To miło z twojej strony. A może mam dziewiętnaście?**
- O, pani dodaje sobie lat.**

Skierowali się do kasy. Jack otworzył szeroko oczy ze zdumienia, gdy Sophie zaczęła wyjmować towary z koszyka.

- Brokuły, kalafior, dżem, odżywki dla dzieci - czy ty nie jadasz nigdy niczego normalnego?**
- Nie mam takiej swobody jak inni, kowboju. Wyszli ze sklepu.**
- Chodźmy na lunch - zaproponował Jack.**
- Nie mogę - powiedziała Sophie, poprawiając torby z zakupami.**
- Dlaczego?**

- Dzieci są u mojej teściowej. Prosiłam, by popilnowała dziewczynki tylko przez godzinę.

- Zadzwoń więc i powiedz, że spóźnisz się. -Było to dla Jacka takie proste. Nie rozumiał, dlaczego kobiety tak bardzo komplikują rzeczy proste.

- Nie mogę. - Dziwiła się, jak trudno odwieść go od raz powziętego postanowienia. - Muszę jeszcze jechać do pediatry na szczepienie przeciw gruźlicy. Jestem umówiona na pierwszą.

Zerknął na zegarek: za dwadzieścia pierwsza. Nie ma czasu nawet na lunch w barze szybkiej obsługi.

- Trudno.

Podszedł do jaguara i z rozmachem rzucił zakupy na tylne siedzenie. Był zły. Zły na Sophie, że mu odmówiła, zły na siebie, że tak długo ją prosił. Oznaczało to brak samokontroli i obiecał sobie poprawę. Gdy wkładał kluczyk do stacyjki, mijal go właśnie samochód Sophie. Wyłączył silnik i opuścił szybę.

- Nie możesz żywić się takimi śmieciami! -usłyszał.

- Nie mogę?

- Dostaniesz wścieklizny żołądka.

- Co to za choroba?

- Nie wiem. Ty będziesz pierwszym chorym. - Sophie spojrziała w lusterko. Jakiś samochód trąbił na nią. - Zapraszam cię dzisiaj wieczorem na dobrą kolację. Nie mogę znieść myśli, że Muffin jada lepiej od ciebie.

„To twoja szansa, staruszk” - pomyślał. - Szansa, byś się sprawdził. Sprawdził, czy twoja głowa jeszcze pracuje i czy potrafisz się kontrolować. Bądź twardy”.

- Z przyjemnością - odparł.

Czekała do ostatniej chwili, by wziąć prysznic i przebrać się w coś stosownego. Była podekscytowana nadchodzącym wieczorem. Od dawna nie wydawała uroczystych kolacji. Pokrzepiała się myślą, że zaprosiła sąsiada wyłącznie z troskliwości.

Zrobiła gulasz - uznała, że to typowy sąsiedzki poczęstunek. Za dziesięć siódma cynamonowe rogaliki były gotowe.

Zadzwoiła teściowa.

- Sophie, kochanie, rozmawiałam z Amandą Leadbetter - powiedziała Vivian.

Sophie otworzyła nową buteleczkę aspiryny, przytrzymując słuchawkę między ramieniem a policzkiem.

- **To miło, Vivian. Co ciekawego ci powiedziała?**
- **Podobno byłaś z jakimś mężczyzną w sklepie.**
- **Co? - upuściła buteleczkę i małe pigułki rozsypały się na podłogę.**
- **No tak, z jakimś kowbojem.**
- **Ach, to tylko sąsiad. Amanda ma bujną wyobraźnię.**
- **Och, kochana - westchnęła Vivian.**

Vivian była serdeczną osobą. Owdowiała kilka lat temu i do tej pory pozostawała samotna. Bardzo pragnęła dobra Sophie i nie ukrywała tego.

- **Myślałam... no wiesz, myślałam... Amanda mówiła, że bardzo czule się do ciebie zwracał.**

- **Co?! - oburzyła się Sophie.**

- **Amanda musiała się przesłyszeć. Żaden rozsądny mężczyzna nie mówi do ukochanej „dynio” .**

Tymczasem Jack kilkakrotnie zmieniał ubranie. Nie miał odpowiedniej garderoby, a to co posiadał było pogniecione. Spodnie khaki uznał za zbyt eleganckie. Nie chciał zdradzić swoim wyglądem, że uważa kolację za coś więcej niż sąsiedzkie spotkanie.

Dżinsy z kolei miały wy-

pchane kolana. Nie chciał urazić gospodyni niedbałym strojem. Jasne bawełniane spodnie byłyby idealne, ale miały małą plamkę z przodu. Nie miał pojęcia, skąd się wzięła. Koniec końców wciągnął niebieski sweter, dość długi, aby zakryć ubrudzone miejsce. Wyjął z ucha kolczyk i założył czyste skarpetki. Był gotowy już kwadrans po szóstej. Usiadł więc na fotelu i zaczął drażnić Muffina.

Sophie nie robiła mocnego makijażu, ale dla dobrego samopoczucia użyła odrobiny perfum. O siódmej Jenny wymiotowała na czarne spodnie Sophie. Szybko pobiegła na górę i założyła błękitne dżinsy, które były trochę za ciasne. Wciągnęła głęboko brzuch i udało się jej dopiąć guzik, który jednak po chwili odpadł. Spięła spodnie agrafką, w zamieszaniu zapomniała zupełnie o założeniu butów.

Jack nie chciał się spóźnić, ale nie wypadło też przyjść zbyt wcześnie. Czekał kilka minut na ganku, co chwilę spoglądając na zegarek. Czyżby bał się wejść? Zapukał dokładnie dwie po siódmej. Sophie rzuciła po raz ostatni okiem na bawiące się w łóżeczku dzieci. Kamionkowa za-

stawa na stole była w należyтым porządku. Na środku obrusa postawiła bukiet suszonych kwiatów. Założyła koszulę w czarno-białe paski i otworzyła drzwi.

- Bałem się dzwonić - powiedział Jack, uśmiechając się. - No, więc jestem.

- Świetnie, wchodź. - Cofnęła się o krok - zauważyła, że jest boso. - Słuchaj, muszę na se-kundkę pójść na górę. Wejdz do salonu i czuj się jak u siebie w domu.

Jack podszedł do łóżeczka i pogłaskał dziewczynki po złocistych czuprynkach. Z podziwem spojrział na zastawiony stół. Koronkowy obrus oraz śnieżno-białe serwetki. Wprawdzie nie mógł pojąć, jak można kłaść srebrne sztuce i białe serwetki na aluminiowej tacy, ale nie psuło to zbytnio ostatecznego efektu. Jack zawsze wolał jeść w mieście. Jeśli już gotował dla siebie, korzystał z mrożonych, gotowych obiadów.

- Przepraszam - usłyszał za sobą. - Nie powinnam zostawiać cię samego.

- Nie byłem sam. - Odwrócił się i oparł o stół. Miałem do towarzystwa dwie wspaniałe blondynki. Dałaś im specjalną dawkę waleriany? Nigdy nie widziałem ich tak spokojnych.

- Odpukaj w nie malowane - powiedziała

**Sophie z nerwowym uśmiechem. Dzieci były rzeczywiście spokojne jak aniołki. -
Widzisz przed sobą dwie miniaturowe bomby zegarowe. Nigdy nie wiadomo, kiedy
zadziałają. Mogę obiecać, że prędzej czy później nastąpi wybuch.**

- Jak możesz tak mówić o tych kruszynach?

- To proste, jestem ich matką.

**Z uśmiechem skinął głową. Zastanawiał się, gdzie zginęła jego legendarna złośliwość.
Przyjaciele zawsze uważali go za niepokonanego w słownych utarczkach.**

**- Możemy usiąść i porozmawiać - rzekła Sophie. - A może zrobię ci drinka? Chciałbyś
coś wypić?**

„Najbardziej bym chciał cofnąć się do wczoraj, gdy siedzieliśmy na ganku”.

**- Nie zależy mi na drinku - odparł. - Wolę usiąść i porozmawiać. To naprawdę wielka
przyjemność siedzieć bez obawy przed Muffinem czyhającym na moje życie.**

Sophie usiadła na sofie, zakładając nogę na nogę. On na kanapie.

- Cukierka miętowego? - spytała, wskazując tacę ze słodyczami.

- O, z przyjemnością! - Wziął kilka zielonych pastylek, których nie cierpiał. -

Dziękuję.

- Proszę. - Sophie uśmiechała się sztucznie. Zastanawiała się, dlaczego odczuła niechęć. - Mam nadzieję, że lubisz gulasz wołowy.

- Uwielbiam!

- To nic szczególnego.

- Jestem pewny, że będzie wspaniały. Jestem wdzięczny za zaproszenie na taką kolację. Naprawdę - dodał nieprzekonująco.

Zegar na kominku głośno tykał. Sophie wzięła butelkę coli i poczuła nagle kłujący ból.

- O, rany! - Szybkim ruchem podciągnęła koszulkę, ukazując pępek, i... wyciągnęła zgiętą agrafkę. - Ach, to to - mruknęła. - Powinnam przewidzieć.

- O czym mówisz? - Jack był zdezorientowany. - Powinnam wiedzieć, że nie należy wtlaczać się

w zbyt ciasne spodnie. Te dzinsy nosiłam, zanim urodziły się dziewczynki.

Przepraszam na chwilę. Pójdę je zmienić.

- Oczywiście - odrzekł, patrząc na jej zaczerwienione policzki.

Sophie nie było przez prawie dziesięć minut. Jack przykucnął przy łóżeczku i cmokał, próbując zwrócić na siebie uwagę dziewczynek. Jenny, która miała imię wyszyte na kieszonce śpioszka, całkowicie go ignorowała. Leżała na ple-

cach, próbując rozwiązać tasiemkę. Jessika rzuciła w niego drewnianym klockiem i zachichotała.

Jack nigdy nie zabiegał o względy kobiety, u której nie wzbudzał zainteresowania. Wstał i zaczął krążyć po pokoju z rękami w kieszeniach. Odniósł nieprzyjemne wrażenie, iż Sophie się nudzi. Chyba powinien już sobie pójść.

- Już jestem - dobiegł głos od strony drzwi. Sophie miała na sobie luźny, niebieski kostium.

- Zabójcza kreacja, prawda? Nie chciałam tracić czasu na zakładanie pończoch, spódniczki i tak dalej.

- Wyglądasz fajnie. - Zawahał się. - Sophie?

- Słucham? - spytała zmęczonym głosem.

- Czy chcesz, bym już poszedł?

- Co? - Oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

- Dlaczego miałbyś iść? Jeszcze nie zjedliśmy kolacji.

- Nie chodzi o kolację - wzruszył ramionami.

- Nie chcę ci przeszkadzać.

- Nie chodzi o ciebie - odrzekła. - Bardzo mi przykro. Nie przywykłam do tego.

- Do czego? Do jedzenia kolacji?

- Nie, nie do jedzenia. - Próbowała włożyć ręce do kieszeni, zapominając, iż kostium ich nie

miał. Chodzi o... Nie urządziłam ostatnio przyjęć, więc odwykłam od tego.

- Czy to takie trudne? Trochę się rozmawia, trochę je.

- Masz rację. Do tej pory trochę rozmawialiśmy. Teraz najwyższy czas coś przekąsić.

- Popatrzyła na zastawiony stół i dodała: - Kto by pomyślał, że to będzie takie trudne.

Jack nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Czy był dla niej takim ciężarem?

Przestępował z nogi na nogę czując, że się czerwieni.

- Cóż, może dzisiaj nie jest najlepszy czas na... „Do diabła z tym” - pomyślał. Przecież jestem dorosły, potrzebuję miłego towarzystwa i do tego jestem głodny. Poza tym... nie mam ochoty iść do domu”.

- Nie mam ochoty iść do domu - powiedział.

- Nie masz? To dobrze. Zrobiłam gulasz, są też rogaliki z cynamonem. Mam zamiar odpocząć i chcę, byś ty również odpoczął.

- Oczywiście. - Podszedł do Sophie powoli z tajemniczym uśmiechem.

- Odwróć się.

- Co? Po co?

- Rób, co mówię. - Ujął ją za ramiona i obrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Delikatnie wsunął

palce w jej gęste włosy i zaczął masować napięte mięśnie szyi. - Jesteś trochę spięta. Rozluźnij się.

Zastanawiała się, jak powinna zareagować, gdy Jack odsunął jej włosy i zaczął masować plecy i ramiona. Powoli ustępował ból po całodniowej, ciężkiej pracy. Ciarki przechodziły jej po skórze. Tak, chyba trochę dzięki temu odprężyła się.

- Ciągłe jesteś spięta.

- Tak? - Zamknęła oczy, dłonie zacisnęła w pięści, aż paznokcie wbiły się w skórę. W ciągu ostatnich dwóch lat często marzyła, by ktoś trzymał ją w ramionach, dotykał...

- Gulasz! - krzyknęła. Jack opuścił ręce.

- Mogę w czymś pomóc?

„Och, proszę... nie chcę już pomocy” - pomyślała.

- Nie, dzięki, dosyć mi pomogłeś.

- Porelaksujemy się jeszcze kiedyś? - W jego oczach zaigrały wesołe ogniki.

Przez chwilę patrzyła na niego rozmarzonym i pełnym pożądania wzrokiem.

- Może.

Wtem zabrzmiał dzwonek. Trzy długie, dwa

krótkie i znów trzy długie. Jenny, która spała w najlepsze, zerwała się krzycząc wniebogłosy. Jessika pochlipując, wygramoliła się z poduszek i wyciągnęła rączki do mamy.

- Jak szafa grająca - powiedział Jack, wskazując na Jenny. - Tylko kto wrzucił monetę?!

Sophie spoglądała to na drzwi, to na dzieci. W końcu zdecydowała się otworzyć. Jack postanowił stanąć na wysokości zadania i zajął się płaczącymi dziewczynkami.

Próbował wyciągnąć Jessikę z łóżeczka, ale wyrwała się, rzuciła na materacyk i złapała Jenny za policzek. Jenny zaczęła płakać jeszcze głośniej. W mgnieniu oka jej twarz zmieniła kolor z różowego na purpurowy. Jack bezradnie głaskał Jenny po głowie.

- Ja ją wezmę - Sophie odsunęła go i wzięła Jenny na ręce. - To był gazeciarz, zbierał zamówienia na prenumeratę. Sto razy go prosiłam, żeby nie dzwonił. Słuchaj, pójdę do kuchni po butelki dla dziewczynek, położę je spać, przyniosę gulasz i możemy zacząć kolację. Dlaczego nie usiądziesz? Nie czujesz się...

- ...jak u siebie w domu - dokończył.

Trzy kwadransy później siedzieli przy stole. Dziewczynki spały. Co prawda, gulasz był już letni, ale za to rogaliki były przepyszne. Jack

mówił o zamiarze zorganizowania wyprzedaży w przyszłym tygodniu, Sophie zaś opowiadała o swojej pracy w szpitalu. Lekka rozmowa na różne tematy, dokładnie tak jak to sobie zaplanowała.

Późno wieczorem, gdy Jack wyszedł, wszystko się skomplikowało. Płakała, póki nie zmorzył jej sen.

ROZDZIAŁ 4

Następnego dnia Sophie rozmyślała nad tym, co zaszło. Zapragnęła powrócić do normalnego życia. Uznała, że nadszedł czas na zmiany. Postanowiła wyleczyć się z ran. „W przeciwnym razie - myślała - nawet zwykłe towarzyskie spotkanie będzie wywoływało we mnie niepotrzebne emocje”. Postanowiła nie zwlekając uczynić pierwszy krok w tym kierunku i wykręciła numer do teściowej.

- Zrobię to - powiedziała w trakcie rozmowy. Vivian przez chwilę milczała.

- Poważnie?

- Tak. Nie widzę nic złego w pójściu do restauracji z miłym człowiekiem. - Dodała: - Bo on jest miły , prawda?

- Kochanie, to najwspanialszy facet, jakiego znam! Jest siostrzeńcem Judy Kramer, a wiesz, jak miłą osobą jest Judy. Nazywa się John Wilde i ma gabinet przy rynku, tuż obok domu państwa Searsów. W ostatnią środę wyrywał mi ząb i zupełnie nic nie czułam.

- Naprawdę? To brzmi... bardzo interesująco.

- Robisz kapitalne postępy, moja droga! Zobaczą, co da się zrobić.

- Nie musisz się spieszyć.

Już po piętnastu minutach odebrała telefon od teściowej.

- Dzisiaj o siódmej trzydzieści - usłyszała - miły, trochę zapoznawczy obiad.

- Dziś wieczorem?! - Sophie poczuła ucisk w żołądku. Myślała raczej o przyszłym tygodniu - albo miesiącu. - Nie dam rady. Nie mam gdzie zostawić dzieci.

- Nie martw się. Wezmę dziewczynki, mogą zostać u mnie do jutra. Wiesz, jak uwielbiam się nimi zajmować, a tobie przyda się trochę odpoczynku. Zabierzesz je jutro po południu, wracając ze szpitala.

Sophie nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Nie wiem, czy sobie poradzę.

- Najdroższa, poradzisz! To tylko zwykły obiad. Z pewnością będziesz zadowolona. Vivian miała rację. W towarzystwie Johna Wilde'a nic się nie czuje. Być może był dobrym dentystą. Miał głęboki, ciepły głos, którego brzmienie otulało i usypiało, usypiało...

Podczas spotkania walczyła z sennością. Dof wiedziała się wielu bardzo interesujących rzeczy: ma on czterdzieści jeden lat, jest rozwiedziony, ale żyje z żoną w przyjaźni; nie może uprawiać joggingu, bo ma kłopoty z kolanem; lubi spacerować oraz co roku spędza samotnie dwa tygodnie na wędkowaniu, co nazywa „swoją wielką hulanką”.

Do domu wróciła o bardzo przyzwoitej porze: była dziesiąta.

John Wilde okazał się prawdziwym dżentelmenem. Na pożegnanie potrząsał długo jej ręką i prosił o pozwolenie, by mógł do niej zadzwonić.

- Będzie mi bardzo miło - odpowiedziała dyplomatycznie, masując rękę.

Wielce zadowolony, stateczny dentysta odjechał swoim równie statecznym BMW.

Dom wydał się Sophie nienormalnie cichy. Chodziła boso po pokojach i nucila „Ten cudowny wieczór”. Wyobrażała sobie życie z dentystą: podobne do siebie dni, dni bez przykrych zdarzeń, ale i bez emocji. Czy właśnie tego pragnęła? Była zbyt młoda. Nie chciała spędzić reszty życia u boku nudziarza.

Depresja rosła i rosła, aż Sophie utwierdziła

się w przekonaniu, że jest kobietą zepsutą. Wypiła małą szklanekę wina, potem dużą... Mieszkanie stało się zbyt ciche. Włożyła włochate pantofle, ściągnęła narzutę z tapczana i owinęła się nią. Była zmęczona. Postanowiła zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie trzeba było zapalać światła na ganku, księżyc był w pełni. Usiadła na huśtawce, wsłuchując się w odgłosy nocy. Liście cicho szeleściły. Szczekający w od- dali pies przypominał jej o Muffinie. Zastanawiała się, jak długo będzie trwała wojna między Muffinem a Jackiem i kto zwycięży.

Usłyszała skrzypienie drzwi, a potem kroki. To Jack wyszedł na ganek domu pani Agnes. Trzymał w rękach ogromny stos kartonowych pudełek. Zniknął w garażu. Sophie usłyszała dochodzącą stamtąd serię łomotów, zgrzytów oraz stuków. Hałasy zaniepokoiły ją, więc zarzuciła na plecy koc i ruszyła do płotu.

Spojrzała w stronę garażu.

- Wszystko w porządku? - spytała cicho. Ponieważ Jack nie odpowiadał, podniosła głos: - Pytałam, czy wszystko w porządku?!

Jack wreszcie pojawił się w drzwiach.

- Trochę głośniejsze, brązowooka, a obudzisz całą wioskę.

- Trzeba było odpowiadać! - fuknęła i poprawiła koc. - Nigdy nie słyszałam w tych okolicach tyle hałasu. Co tu się dzieje?
 - Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział. A w ogóle, to dlaczego wałęsas się po nocy ubrana w koc?
 - Bo tak mi się podoba. Co się wściekasz? Czy twój piesek ugryzł cię w palec?
 - Nie. Te potworne, wahadłowe drzwi trzasnęły mnie w głowę.
- W głosie Sophie Jack wyczuł coś nowego. Podszedł do płotu, zsunął koc z jej głowy i spojrzał w brązowe oczy.
- Sophie.
- „O, to zaczyna być interesujące” - pomyślała.
- Tak, proszę pana! - odpowiedziała dziarsko.
 - Pilaś coś?
- Stała na baczność i zasalutowała.
- Tylko w celach zdrowotnych, kapitanie! Jestem całkowicie zdolna do pełnienia zadań bojowych!
- Podziwiał jej elegancki kostium, który zauważył pod kocem.
- Picie nie przystoi matce dwojga dzieci. Wstydz się.
 - Wcale nie jestem pijana. Nalałam sobie ma-

lutką szklanę wina i wysączyłam jak dama. Potem nalałam dużą szklanę wińska i wychyliłam jak szewc.

- Nie wierzę, że pijesz szklankami. Cóż to za okazja? Widziałem pod tym kocem całkiem ładny, odświętny strój.

- Dziękuję za uznanie. - Nie była pijana, ale alkohol sprawił, że czuła się odprężona. - Miałam dzisiaj randkę. Spokojną, usypiającą, mę-sko-damską randkę. On był dentystą i miał chore kolano. Ale za to był prawdziwym dżentelmenem.

- Wspaniale! Dobrze się bawiłaś?

- On jest moim dentystą - powiedziała. - Właściwie dentystą mojej teściowej. Jak wrywa zęby, nic się nie czuje. Jak urządza randki, również.

- Twoja teściowa załatwiła ci tę randkę?

- Załatwiła? Jak to okropnie brzmi. Lepiej nie rozmawiajmy o tym.

- Ile wypić? - Szeroko się uśmiechnął i złapał ją żartobliwie za koniuszek nosa.

-Mówiłam. Jedną małą oraz jedną dużą szklaneczkę.

- Niech ci będzie.

Złapał ją w pasie i bez trudu przeniósł nad niskim płotem.

- Nie masz obowiązku spowiadać się. Chcesz mi pomóc w poszukiwaniu skarbów?

- Skarbów?

- Zaraz wszystko ci pokażę. - Spojrzał na dom Sophie i z zakłopotaniem dodał: -

Zapomniałem

0 dziewczynkach. Prawdopodobnie nie będziesz chciała zostawić ich samych.

- Dzieci są u teściowej. - Rzuciła okiem za siebie. Na płocie wisiał koc, którym jeszcze przed chwilą była okryta. - Mogę pomóc ci w poszukiwaniach. Dzisiaj mogę robić, co mi się tylko będzie podobało. Gdzie jest Muffin?

- Zamknąłem go w piwnicy.

„Bliźniaki są u teściowej. Ona może robić, co chce” - myślał Jack gorączkowo. Na razie zrobił pierwszy krok. Sophie jest u niego w domu. Dla niego wizyta kobiety nie była niczym szczególnym, lecz Sophie uważał za wyjątkową kobietę.

1 to go wystraszyło. Nigdy dotąd nie dawał się ponosić emocjom.

Siedziała na krześle w kuchni, wyjadając chipsy z wielkiej torebki. Jack zdążył już zjeść osiem z dwunastu opakowań chipsów, które ku-

pił poprzedniego dnia. Musiał w końcu jeść śniadanie, obiad i kolację.

- Co robiłeś tak długo? - spytała, gdy pojawił się w drzwiach. - Ciekawość mnie zżera. Spojrzał na sarnioką blondynkę, napychającą się spożywczym „śmieciem”. Z wrażenia zaschło mu w gardle. Nie był znawcą mody, ale to, co miała teraz na sobie, oszołomiło go. Idealnie podkreślało jej figurę. Długie nogi odkryte aż do połowy uda, szczupłe dłonie...

- Nie masz odpowiedniego ubrania do poszukiwania skarbów - powiedział. - Zaraz dam ci jakąś koszulę.

- To można wyprać. Rozpoczynamy poszukiwania?

- Spójrz na to. - Podał jej pudełko po butach.

- Skrzynia ze skarbami?

Lekko odchyliła wieczko bojąc się, że coś zaraz wyskoczy ze środka.

- Co to jest?! - zapiszczała. - Pieniądze! Jack podniósł plik dwudziestodolarówek i z powrotem wrzucił do pudełka. Znalazłem to wszystko w salonie. Możesz mi wierzyć. Muffin porwał jeden z moich kapci i wciągnął pod łóżko. Gdy schyliłem się, by go wyciągnąć, zobaczyłem paczuszkę wetkniętą w ramę. Pliczek no-

wiutkich dwudziestek owiniętych w folię aluminiową. Rozpocząłem więc poszukiwania. Znalazłem drugą paczkę przyklejoną taśmą pod kuchennym stołem oraz trzecią w okładce książki. Razem tysiąc dwieście dolarów.

- Dom pani Agnes to prawdziwy bank. Nie mogę w to uwierzyć.

Przypomniała sobie panią Dancie wożącą Muffina w wózku dla lalek.

- Chyba jednak mogę. Myślisz, że w domu jest tego więcej?

- Robiłem porządki na strychu. Kilka minut temu znalazłem starą lalkę z trzema setkami pod sukienką.

-To jest jak...

- Wielkie polowanie na Wyspie Skarbów!

- Gdzie zaczynamy?

- Na strychu. Tylko tam jest dużo kurzu i twój strój może się trochę pobrudzić.

- Przestań martwić się o moje ubranie! Lepiej martw się o swoje. Gdy jako dziecko bawiłam się w chowanego, zawsze miałam na sobie najlepsze ciuchy. Chcę podtrzymać tradycję. Daj mi tylko berecik z antenką i tasiemkami do związania pod brodą.

Poszli na strych uzbrojeni w latarkę, lampę

oraz przedłużacz. W smudze światła widać było unoszący się kurz. Przez lata pani Dancie uzbierała niezwykłą kolekcję staroci: szafki, japońskie parawany, mosiężne poręcze foteli, stare ekspresy do kawy. Przejrzeli wszystkie zakamarki. Były tam jeszcze porcelanowe arlekiny, drewniany stojak na parasole, masywne biurko. I wszędzie połyskiwała folia aluminiowa.

- Ile znalazłeś? - spytała Sophie, siedząc przy lampie i próbując policzyć pieniądze.

- Co najmniej tysiąc metrów folii - odpowiedział Jack. Był zasłonięty japońskim parawanem. - A tu jeszcze jeden. Nie widzę tylko czy to dwudziestki, czy setki.

Powinniśmy byli zrobić to za dnia.

- Nie ma chyba wielkiej różnicy. Tutaj i tak zawsze jest ciemno. Ja mam albo tysiąc czterysta albo siedemset tysięcy. Nie jestem pewna, jakie to banknoty.

- Policzymy na dole. - Jack usadowił się obok Sophie. - Zdaje się, że pająk chodzi mi po głowie.

- Biedne dziecko. - Zdjęła mu z włosów duży paproch. - To nie pająk, skarbie. Serce zaczęło bić mu mocniej. „To błąd siadać tak blisko niej” -pomyślał. Czuł zapach jej ciała,

chwilami długie włosy muskały go po ramieniu. Poszukał jej ręki. Zdziwił się, gdy Sophie odwzajemniła uścisk. Spletli palce. Jej dłoń była mała i ciepła. Czas zatrzymał się.

- Sophie - szepnął. Bał się posunąć dalej, bał się nawet o tym marzyć. Najbardziej jednak obawiał się odtrącenia.

- Nie wiem, czy tego chcę. - Głos Sophie był ledwo słyszalny. - Od dawna nie myślałam o tym.

- Dziwne, bo ja myślałem bez przerwy. - Uśmiechnął się nieśmiało.

- Dla mnie nie jest to takie łatwe. Słysząc było tylko szelest liści na zewnątrz.

- Dlaczego? - spytał.

„Dlaczego? Bo nie jest łatwo oddzielić ból od przyjemności, a obowiązek od wolności”.

- Bo nie wiem, kim teraz jestem, czego chcę. A chociaż to niekoniecznie mój...

„Emocjonalne niedopasowanie” - pomyślał Jack, próbując złagodzić w sobie napiętność. Na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie. Nagle roześmiał się i zerwał na nogi. Sophie również wstała. Paczki dolarów posypały się na podłogę.

- Teraz zobaczymy, cośmy zdziałali - powie-

dział. - Chodźmy na dół, czas to pieniądze. Zbierz swoje łupy.

Wrzucili pieniądze do zabytkowej wazy. Sophie nic nie mówiła, za to Jack gadał za dwoje. Z piwnicy dochodziło szczekanie Muffina.

- Powinienem go wypuścić - rzekł z wahaniem. -1 wypuszczę wkrótce.

„Najwyższy czas iść do domu” - pomyślała Sophie. Nie wiedziała, dlaczego jeszcze towarzyszyła Jackowi w gabinecie. Była prawie druga w nocy. Jutro musiała iść do pracy, a właściwie to dzisiaj. Musiała jeszcze umyć włosy i wyprać garsonkę. Ale nie chciało jej się iść. Była pewna, że to z powodu Jacka, którego uważała za ujmujące połączenie chłopca z mężczyzną, świętego z grzesznikiem. Potrafił sprawić, że znów czuła radość życia.

Poszukiwania w mieszkaniu okazały się znacznie trudniejsze. Paczuski były staranniej pochowane w bardzo wymyślnych miejscach, często razem z ważniejszymi dokumentami. Jack zbierał wszystko do plastikowego worka.

- Zniosę to jutro do adwokata jako prezent. Oni uwielbiają papierkową robotę. Sophie na czworakach zbierała niepotrzebne

papiery, puste koperty oraz kawałki folii aluminiowej.

- Jack. -Tak? -Przestań!

- Co mam przestać? - spytał niewinnie.

- Gapić się na moje pośladki.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Przesunął się w lewo, by lepiej widzieć. - Pracuję ciężko jak koń. - Po chwili dodał: - Wyglądają nieźle jak na trzydziestopięcioletnią kobietę.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Dwudziestojednoletnią...

- Ty komplementarzu!

Czuła się jak nastolatka, na widok której pogwizduje się na ulicy. Mimo to cieszyła się, że uważał ją za piękną kobietę.

- Dwadzieścia jeden będę miała za rok. Zadowolony?

Położył plastikową torbę na stole i usiadł po turecku obok Sophie.

- Naprawdę chciałaś odpowiedzieć mi uczciwie?

Sophie podniosła kartonowe pudełko po kalifornijskich pomarańczach.

- Co to jest? Tu jest coś napisane. Nie mogę odczytać.
- Daj, ja spróbuję. „McMillan”.
- To jakiś horror. - Złapała go za rękę. - To naprawdę niezwykle.
- Jak z filmu Hitchcocka. Bardzo ciekawe. Proponuję otworzyć.
- Wręczyła mu pudełko i schowała się za jego plecami.
- Dobrze, otwieraj, ale pamiętaj o puszcze Pandory.
- Powoli rozwiązywał sznurki, którymi obwiązany był karton.
- Do diabła - rzekł.
- Cooo? - spytała drżącym głosem.
- Moje filmy! Ona miała wszystkie moje filmy na kasetach! Każdy bez wyjątku.
- Patrz: „Dzika pustynia”, „Biała gorączka”, „Ostatni banita”... Po co jej to? - Zaczął się zastanawiać. - Tak! Że też od razu nie zwróciłem na to uwagi.
- Na co? - Zatrwożona jeszcze bardziej wtuliła się w jego muskularne ciało. - Jeśli zaraz nie powiesz mi, o co chodzi, zwariuję. Znałeś panią Dancie? Czy ona była twoją fanką? „Czy kaskaderzy mają w ogóle fanów?” - spytała samą siebie.

Jack był poruszony. Nie filmami, lecz dotykiem Sophie i ciepłym, łagodnym oddechem, który czuł na plecach. Odwrócił głowę w jej stronę.

- Usiądź obok mnie - powiedział. - Albo oszaleję.

Sophie posłusznie usiadła, zakrywając skromnie kolana. Zauważył na jej policzkach rumieńce.

-Już siedzę. Teraz proszę mi wszystko wyjaśnić.

- Czy znałem panią Agnes Dancie? Nie, nigdy jej nie spotkałem, ale chyba wiem, kim był jej mąż.

- Jej mąż? Zdaje mi się, iż mówiła mi kiedyś, że miała męża i mieszkała w Kalifornii w latach czterdziestych.

- Nazywał się Tom Dancie. Wykonywał najbardziej karkołomne akrobacje w dziejach Hollywoodu. Dawno temu. Nie zwracano wtedy uwagi na bezpieczeństwo.

Najważniejszy był efekt. Tamci faceci byli niesamowici, podejmowali nieprawdopodobne ryzyko. Tom Dancie... czemu nie skojarzyłem wcześniej?

- Co się z nim stało?

- Jak na kaskadera zmarł bardzo dziwnie. Na zapalenie płuc. Po tych wyczynach, kiedy pra-

wie zawsze ryzykował życiem, umarł na zapalenie płuc. Miał około trzydziestu pięciu lat.

- Agnes Dancie była więc żoną sławnego hollywoodzkiego kaskadera... - powiedziała powoli Sophie. - Myślisz, że właśnie z tego powodu zapisała ci cały majątek? Bo przypomniałaś jej Toma?

- Albo imponowały jej moje wyczyny. Nigdy nie będziemy tego wiedzieli. Wzięła do ręki jedną z kaset.

- Będę miała czym się podniecać.

Jack chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

- Mam na myśli twoje wyczyny - dodała. - Włączę video i dokładnie się przyjrzę, a ty mi wszystko wyjaśnisz.

- Nie chcesz chyba oglądać moich filmów?

- Oczywiście, że chcę.

- Nawet nie będziesz wiedziała, kiedy ja to ja.

- Nie szkodzi.

- Jestem na ekranie najwyżej minutę. A na liście „Udział wzięli” figuruję tuż za „Koordynatorem ekipy naprawczej na wypadek trzęsienia Ziemi”.

- No to co? - nie dawała za wygraną.

- To... idę po chipsy - skapitulował.

Dochodziła czwarta rano. Poszukiwaczom skarbów zaczęły kleić się powieki. Odgłosy terkoczących pistoletów maszynowych oraz piszczących opon zlewały się w jeden jazgot. Sophie ciągnęło do ciepłego ciała Jacka spoczywającego obok na sofie. Oparła policzek o jego ramię. Było jej tak dobrze.

- Sophie?

- Mhmmmm? -Nic.

Wargi Jacka musnęły czubek jej głowy. Westchnęła i odwzajemniła pocałunek na jego ramieniu.

- Dobranoc, kochanie.

ROZDZIAŁ 5

Jack obudził się z bólem karku i zdrętwiałymi nogami. Krawat, który wczoraj założył, miał owinięty wokół twarzy niczym knebel.

Sophie spała. Położyła głowę na jego kolanach, ręce wsunęła pod policzek. Spódnica zawinęła się wokół jej bioder, widać było zgrabne nogi. Przeciągnęła się z błogim wyrazem twarzy i odwróciła na drugi bok.

„Dobranoc, kochanie” - tak powiedziała. Ale czemu miałby przywiązywać do tego wagę? Z pewnością po prostu pomyliła go z mężem. Takie rzeczy się zdarzają. Jest to zrozumiałe, biorąc pod uwagę fakt, że żyła sama przez dwa lata.

Oczywiście, że tęskniła za mężem; śniła o nim, pragnęła go. Całkiem naturalne. Jack jednak wołał, by tak nie było.

Poruszyła się znowu, obróciła na plecy i zaczęła przecierać oczy pięściami. Jack pochylił się nad nią.

- Dzień dobry, moja śliczna. Wiesz, że chrapiesz? -Jack?

„ O, brawo! Nie pomyliła mego imienia”.

- Jak się czujesz o poranku?

- O poranku? Spałam tu całą noc?

- Zgadza się - kiwnął głową. Próbował rozruszać zdrętwiałe palce u nóg.

- Na tobie? - zapytała.

- Na mnie. Ale teraz, skoro już nie śpisz, może usiądziesz.

Usiadła, poprawiła spódniczkę i rozczochrane włosy. Kątem oka obserwowała, jak Jack masuje sobie kark i porusza ścierpniętym ramieniem.

- Chyba strasznie zesztyniałaś?

- Nie jest tak źle. - Zastanawiał się, co będzie, gdy wstanie. Nogi były bezwładne jak kłody. -Moje filmy działają jak pigułki nasenne. Właśnie mieliśmy na to dowód.

- Mnie podobały się. Ja tylko... - przerwała. -Jak to, ja chrapię?

Przytaknął. Patrzył na rozmazany tusz pod jej oczami.

- OK, nie chrapiasz.

- To chrapię czy nie?

- Dobrze, chrapiasz. - W rzeczywistości nie chrapała, lecz Jack chciał się z nią trochę podroczyć. - Zobaczmy, co się stanie jak wstanę.

Sophie stanęła blisko niego, by go złapać, gdy-

by miał zamiar upaść. Jack szczęśliwie utrzymał się na nogach. Zdawała sobie sprawę, że to ona była przyczyną jego udręki.

- Przepraszam, muszę iść do łazienki - powiedziała.

Jack z rozbawieniem patrzył, jak otwiera drzwi i staje oko w oko z rzędem pustych wieszaków.

- Szafa - rzekł. - Otwórz następne drzwi. Przez ponad piętnaście minut doprowadzała się do porządku. Tuszu do rzęs nie mogła zmyć wodą, gdyż był wodoodporny.

- Chrapie! - powiedziała do siebie - i wstrzymałam mu krążenie, doprowadzając prawie do paraliżu. Nie spałam we własnym łóżku.

Znalazła grzebień i zaczęła rozczesywać włosy. Intensywne szarpnięcia całkowicie ją rozbudziły. Nie mogła już nic więcej dla siebie zrobić. Dawno minęła przepisowa godzina zakończenia pierwszej wizyty.

Jack krzątał się przy kuchennym stole. Miał na sobie flanelową koszulę w kratę.

Koszula była zapięta tylko do połowy, ukazując umięśnioną pierś. Poranne, jaskrawe światło wydobywało się zmarszczek wokół jego oczu.

- Mamy sztucznie aromatyzowaną kaszkę poziomkową oraz grzanki. Niestety, chipsy się skończyły - rzekł.

„A teraz jeszcze czuje się w obowiązku nakarmić mnie” - pomyślała Sophie.

- Nie będę ci więcej przeszkadzać. Wystarczy, że wymęczyłam cię w nocy.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Gdzie idziesz? - spytał.

- Do domu. - Sophie podniosła swój koc

i zwinęła go w kłębek. - Stowarzyszenie Wszystkowiedzących Sąsiadów wyruszy dzisiaj wcześniej na lowy, bo jest ładna pogoda.

- To brzmi jak nazwa organizacji terrorystycznej. Kim oni są?

- Sąsiedzi, którzy lubią spacerować wcześniej rano. Lubią też wszystko wiedzieć. Tworzą coś w rodzaju klubu, spotykają się na zebraniach, gdzie wymieniają wiadomości. Nie chcę, by mnie widzieli przeskakującą przez płot o tak wczesnej porze.

- Więc zostań do południa. Będziemy kontynuować poszukiwanie skarbów.

- Daruję sobie dzisiaj tę zabawę - odrzekła z uśmiechem. - Dziękuję za bardzo interesującą noc, nie miałam takiej od dawna.

- Wzajemnie.

- Kiedy robisz publiczną wyprzedaż spadku?

- W sobotę. Mam nadzieję, że zobaczymy się wcześniej.

Sophie uśmiechnęła się. Gdy wyszła, dom wydawał się Jackowi strasznie pusty.

Przypomniał sobie nagle o Muffinie zamkniętym w piwnicy. Napełnił jego miskę wodą i pobiegł go wypuścić. Powoli otworzył drzwi. Baron rzucił się jak szalony do wody. Nie pił przez prawie cały dzień. Gdy Jack wrócił do kuchni, zaskoczył go miły widok. Stała tam Sophie na... krześle.

- Wcześniej wróciłaś - powiedział. - Czy zmieniłaś zdanie na temat śniadania?

- Pieees! - rzekła. - Wybiegł z piwnicy jak wściekły wilk. Myślałam, że chce rzucić mi się do gardła.

- Możesz zejść - powiedział, podając jej dłoń. - Piesek był trochę spragniony. On nie jest groźny, tylko tak przerażająco wygląda.

- Zapamiętam. - Skierowała się do drzwi. - Miałam nie przeszkadzać, ale ktoś był na ulicy.

- Ze Stowarzyszenia Wszystkowiedzących Sąsiadów?

- Nie, gazeciarz. Z pewnością już poszedł. Wracaj do śniadania.

Jack miał świetny humor. Patrzył przez okno,

jak Sophie idzie przez trawnik w kierunku swojego domu. Nagle zatrzymała się, zrobiła krok wstecz, po czym odwróciła się i pobiegła z powrotem.

- Prawie się jej udało - mruknął. - To lepsze niż „Ucieczka z Alcatras”.

Drzwi otworzyły się z impetem.

-I tym razem jakiś wszytkowiedzący?

- Nie, mleczarz - oddychała ciężko. - Przysięgam, naprawdę chciałam iść. Muszę trochę poczekać, aż sobie pójdzie.

- Lubię, kiedy tu jesteś. Po południu przychodzi facet prowadzący wyprzedaż. Będiesz mogła go poznać.

Muffin zaczął warczeć.

- Wiem, kiedy nie jestem mile widziana, piesku - powiedziała Sophie. - Cześć Jack, tym razem naprawdę wychodzę.

- Cześć, Sophie. Było mi bardzo miło.

Patrzył długo przez okno. Myślał o tym, co robiłby, gdyby nie spotkał Sophie. Nie wiedział, czym skończy się ta znajomość.

- Powinam wiedzieć - powiedziała Kim. -W chwili gdy was zobaczyłam, powinnam się domyślić.

Sophie zmarszczyła brwi. Wyjmowała właśnie z szafy kapcie, które były częścią stroju pielęgniarek.

- O czym ty mówisz?

-No, o panu McMillanie. Nje chcę być wścib-ska, ale widziałam cię dziś rano.

Wyszłam na ganek po poranną prasę i zobaczyłam, jak przeskakiwałaś przez płot.

-I co? Zdecydowałaś się przyjść, żeby powiedzieć mi o tym? Nikt ci jeszcze nie mówił, że pozory mylą?

- O! Wielu ludzi mi o tym mówiło; mówili mi też, bym pilnowała własnego nosa.

Powiedz, miałaś wczoraj randkę? Widziałam cię w pięknym, żółtym kostiumie.

- Owszem, miałam randkę. - Sophie poszła do kuchni, wzięła klucze z szuflady i włożyła do torebki. - Z bardzo miłym dentystą imieniem John. Jak on się nazywał? Nazwisko jakoś tak nie pasowało do niego... już wiem! Wilde, John Wilde. Zabrał mnie do włoskiej restauracji na głównej ulicy.

- John Wilde? - powtórzyła Kim.

- Tak. Vivian nas umówiła.

- Umówiła? To jeszcze nie tłumaczy twojego skakania przez płot.

Oczywiście, nie musisz mi niczego wyjaśniać.

- Nie uwierzysz, jak ci powiem. Wszystko było zupełnie niewinne.

- Och, wierzę! Wierzę, bo cię znam. Dlatego jestem jeszcze bardziej ciekawa. To musi być niesamowita historia.

**- Opowiedziałabym ci, gdybym miała czas, ale muszę już lecieć do szpitala. —
Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi frontowych.**

„Któż to może być?” Wyszła na korytarz i prawie zderzyła się z Vivian, która na jednej ręce trzymała Jenny, a na drugiej Jessikę.

- Mam niespodziankę dla ciebie - powiedziała teściowa.

Z wyrazu jej twarzy można było odgadnąć, że niespodzianka na pewno nie ucieszy Sophie.

- Co się stało?

- Nie musisz dzisiaj iść do szpitala.

- Co? Dlaczego?

Vivian podniosła trochę wyżej Jenny, tak że Sophie zobaczyła różową wysypkę na twarzy dziewczynki. Takie same plamki zauważyła na buzi Jessiki.

- Różyczka - rzekła teściowa.

Tak rozpoczął się „Koszmar z ulicy Brzozowej” część pierwsza.

Przez czterdzieści osiem godzin obie dziewczynki miały bardzo wysoką temperaturę. Sophie kąpała je w sódzie kuchennej, nacierała spirytusem i nadmanganianem potasu. Robiła im przeciery warzywne, soki z pomarańczy i winogron, lecz dzieci nie chciały jeść.

Prawie nie sypiała. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jadła. Nie wiedziała, jaki jest dzień tygodnia. Myślała, że nie ma nic gorszego niż wyrzucenie się zębów. A jednak...

Wyłączyła telefon, by nie budził dzieci. Zasłoniła okna, żeby światło nie drażniło ich oczu. Obok dzwonka nakleiła kartkę „Proszę nie dzwonić. W domu są chore dzieci”. Nie spodziewała się zresztą żadnych gości. Dzieci sąsiadki zachorowały dzień później. Vivian wyjechała na wycieczkę do Vermont oglądać najpiękniejszą jesień w Stanach. Nie chciała zostawić synowej w potrzebie, ale Sophie nalegała. Teściowa od dawna marzyła o tej podróży i nie było powodu, by krzyżować jej plany. Sophie zdecydowała, że sama da sobie radę ze wszystkim. - Dam sobie radę - powiedziała w czwartko-

wą noc, smarując spirytusem policzki i czoło Jessiki. - Muszę tylko gadać do siebie bez przerwy, to nie zasnę. Mamusia zadba o ciebie, Jessiko. Mamusia przegoni tę wstrętną różyczkę.

- Łózyckę - powtórzyła Jessika słabym głosem.

- Tak, kochanie. Przepędzimy łózyckę. Jessika próbowała podnieść się na łóżku. - Opa - rzekła, wyciągając rączki. - Nie, słonko. Teraz czas iść spać. „Iść spać- jak to miło brzmi”. Jakże pragnęła iść spać.

- Nieee! Opaaa! - pochlipywała niepocieszona Jessika.

Sophie dała Jenny butelkę soku, a Jessikę wzięła na fotel na biegunach. Śpiewała kołysanki, opowiadała bajki starając się, by jej głos przypominał brzmieniem głos Johna Wilde'a. Obiecywała Jessice nowiutką corvette, jeśli tylko zaśnie przynajmniej na godzinę.

Była zmęczona, więc nie zdziwił ją zbytnio widok Jacka wchodzącego do pokoju.

- Pukałem - powiedział. - Nie słyszałaś?

- Nie widziałeś kartki? - Ze zmęczenia nie wiedziała, co mówi. - Nie powinieneś pukać.

- Wybacz mi. Nigdy nie zamykasz drzwi?

Zaczęła się zastanawiać. Skoro Jack tutaj stoi, to musiała zapomnieć zamknąć drzwi.

- Jak widać, nie - odpowiedziała.

- Dom jest ponury jak mauzoleum. Mogłabyś powiedzieć, co się tutaj dzieje?

Jenny wpatrywała się w przybysza.

- Lózycka - powiedziała.

- Mamy lózyckę - dodała Sophie.

- Chyba różyczkę? - powiedział domyślnie Jack. - Wszystkie macie różyczkę?

- Nie. - Sophie pocałowała córeczkę. Duże dziewczynki nie miewają różyczek. Tylko małe.

Jenny zaczęła płakać.

- Mmmaamm...

- Ona coś od ciebie chce - rzekł Jack.

- Wiem. - Sophie poczuła, że oczy napęłniły się jej łzami. Tego jeszcze brakowało. -

Ona chce jeszcze soku. Gdybyś mógł potrzymać Jes-sikę przez moment, zrobiłabym coś do picia dla Jenny.

Jack niezgrabnie podniósł Jessikę. Nigdy nie trzymał dziecka i nie wiedział, jak się to robi.

- Czy muszę podtrzymać jej główkę? - spytał.

- Nie. - Mimo zmęczenia uśmiechnęła się. - Tak postępuje się tylko z bardzo małymi dziećmi. - Wstała z fotela.

- Tylko trzymaj ją - dodała.
 - Nie jest zbyt zadowolona - powiedział patrząc, jak Jessika wykrzywiła buzię. - Chyba zaraz będzie płakać.
 - Z pewnością... - odrzekła Sophie, wychodząc z pokoju. Nie chciała słyszeć płaczu.
 - Wracam za minutkę, potem będziesz mógł sobie pójść.
 - Będziesz mógł sobie pójść - mruczał z niezadowoleniem Jack.
- Zaczął naśladować głosy różnych zwierząt, by uspokoić jakoś dziecko. Zdawał sobie sprawę, że nie było łatwo opiekować się dwójką chorych dzieci przez okrągłą dobę.
- Bądźcie grzeczne dziś w nocy, maleństwa -powiedział do Jessiki. - Chcesz usłyszeć bajkę?
 - Nie! - zapłakała dziewczynka, aż jej mały nosek zrobił się różowy.
 - Nie płacz, mamusia niesie ci smaczny soczek.
 - Nie!
 - Dobrze. Spójrz na swoją siostrzyczkę. Widzisz Jenny? Ona nie płacze. Jaka dzielna!
 - Mówił tym samym tonem, jakim uspokajał Muffina. - Chciałabyś położyć się obok niej?
 - Nie! - Buzia Jessiki spuchła od płaczu.

- Mogłabyś przestać płakać? Chcesz usłyszeć, jak mówią świnki? Kwi-kwi-kwi! - Zakwiczal bardzo naturalnie i czuł się jak kompletny idiota. Ale dziecko patrzyło na niego z zainteresowaniem. Nawet Jenny wydawała się zaciekawiona.

- A wiecie, jak mówią pieski?

Jessika włożyła palec do buzi i powiedziała:

- Hau-hau.

- Brawo! Jaka mądra dziewczynka. Większość piesków mówi hau-hau, ale niektóre mówią grrrr. Złe pieski, takie jak Muffin.

Jack mówił, szczekał, mrucał, beczał, dopóki nie skończył mu się repertuar. Sophie ciągle nie wracała. Nie miał pojęcia, gdzie się podziała. Czy przygotowanie soku trwa tak długo?

Jessika stała się wreszcie senna. Tymczasowy opiekun powoli wstał, trzymając dziecko tak ostrożnie, jakby to była dziesięciolitrowa butla nitrogliceryny. Położył je delikatnie w łóżeczku i przykrył kocem.

- Tutaj jest wygodniej - powiedział do dziewczynki.

Poszedł na poszukiwanie Sophie. Znalazł ją na schodach. W pierwszej chwili pomyślał, że pośliznęła się i upadła. Ale ona po prostu spała.

- Sophie. - Pochylił się i dotknął jej ramienia.

Sophie podskoczyła i uderzyła głową w jego brodę.

- Oj! Co tutaj robisz? - spytał. - Przecież tu mieszkam! - odpowiedziała, patrząc nieprzytomnie.

- Nie, kochanie. Pytałem, co robisz tutaj, dlaczego śpisz na schodach?

- Nie spałam. Usiadłam tylko na chwilę, by odpocząć. Zrobienie popcornu zajmie mi minutkę. - - Jakiego popcornu?

- O czym mówisz? - Trzymała kurczowo Jacka za rękę. „Ach tak, nie robiła popcornu, tylko sok dla Jenny”.

Dotknął czoła Sophie, sprawdzając czy ma gorączkę.

- Nie wyglądasz najlepiej. Czy dobrze się czujesz?

- Wszystko w porządku.

- To dlaczego płaczesz? - spytał najdelikatniej, jak potrafił.

- Nie wiem - dotknęła mokrych policzków.

- Kiedy ostatnio spałaś, sarenko?

- Nie pamiętam.

- Potrzebujesz snu - stwierdził stanowczo. Wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł jej łzy.

-Dziewczynki teraz śpią, więc i ty możesz się

**przespać. Rano, jak będziesz wyspana, poczujesz się sto razy lepiej. Obiecuję.
„Rano? Myślisz, że dzieci będą spały całą noc?” - pomyślała.**

- Nie mogę iść spać.

- Dlaczego?

Na piętrze zapłakała któraś z dziewczynek.

- O, właśnie dlatego. One nie śpią, ale drzemią przez kilka minut i znowu zaczynają płakać.

Jack usiadł obok Sophie. Złapał ją za rękę i nie pozwolił jej wstać.

- Zostań! W takim stanie nie możesz już nic robić. Potrzebujesz pomocy kogoś, kto zna się na tych rzeczach. Co z twoją teściową?

- Pojechała do Vermont.

- A twoja przyjaciółka, Kim?

- Jej dzieci też zachorowały, wczoraj. - Zaczęła pochlipywać, identycznie jak jej córeczki. - Już nie wiem, kogo mogłabym poprosić.

- OK - powiedział uspokajająco. - Ja się tym zajmę. Nie jest to dla mnie żaden problem. Weź prysznic, a potem zjedz coś i zdrzemnij się. Wszystko będzie w porządku.

- Z kim?

- Z Jenny, Jessiką i... ze mną. Wstał i poprawił koszulę.

Sophie wyczytała w jego głosie niepewność.

- Nie. Ja sama potrafię wszystko zrobić.

- Sophie, musisz iść spać. Powinnaś odpocząć. Jestem dużym chłopcem i mogę popracować kilka godzin jako niania. Teraz grzecznie idź do łazienki, albo sam cię zaniosę. Jak wolisz?

Sophie była zbyt zmęczona, by się upierać. Poszła schodami w górę i z przyzwyczajenia skręciła do pokoju dzieciennego.

- Dokąd?! - Jack wziął ją za ramiona i skierował w stronę sypialni.

- Trzeba zmienić pieluszki.

- Jeśli próbujesz mnie zniechęcić, to nic z tego. Zadbam o wszystko. Miłych snów.

Sophie nie pamiętała nawet, jak dotarła do sypialni. Nie wiedziała, kiedy wczolgała się do łóżka, nie zdejmując z siebie ubrania. Wróciła do przytomności dopiero po czwartej.

Spała sześć godzin. Ból głowy minął. Czowała swoje ręce, nogi, palce... znowu była zdolna do życia.

Zastanawiała się, czy Jack również był w dobrej kondycji. Wzięła prysznic, założyła nową koszulę i jasne dżinsy. Od ciężkiej pracy schudła, nie miała więc problemu z dopięciem spodni.

Wyszła na korytarz. W tym momencie Jack

zamykał drzwi od pokoju dzieciennego. Położył palec na ustach.

- Jak się czujesz? - szepnęła. Uśmiechnął się. W świetle lampy błyszcząły jego oczy, koszulę miał wyciągniętą na zewnątrz.

- Czy ty jesteś tą, która sypia na schodach? - spytał.

- Co z dziewczynkami?

- Śpią.

- Obie? To chyba cud. Jak to zrobiłeś?

- Wdzięk, łapówki, groźby i prośby nie działały. W końcu jakby oklapły. Po prostu musiały być nie mniej zmęczone niż ty.

Westchnęła głęboko, oparła się o ścianę.

- Posłuchaj tej ciszy - szepnęła. - Niesamowita. Dziękuję ci, Jack. Czuję się dużo lepiej. Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś mi nie pomógł.

- Cieszę się, że przyszedłem w samą porę. Zrobiłem dziś w nocy kilka niesamowitych rzeczy.

- Tak? Co takiego? - Obdarzyła go szerokim uśmiechem.

- Zmieniłem pieluszki. Trzy razy! Założyłem Jessice, a może to była Jenny, nowe śpioszki, bo

zwymiotowała na siebie. To było bardzo trudne. Trzeba włożyć najpierw prawą rękę, potem prawą nogę, później lewą nogę i na koniec lewą rękę. Ale udało mi się. Nawet nie płakała... za bardzo.

- Po prostu masz talent.

- Oczywiście. Powiedz mi, jak długo trwa różyczka.

- Lekarz mówił, że pierwsze cztery, pięć dni są najgorsze. Myślę, że powinny już jutro poczuć się lepiej.

- Świetnie.

- Musimy się modlić.

- Amen. - Położył rękę na ramieniu Sophie. -Będzie świetnie.

, Już jest świetnie - pomyślała. - Jak w niebie. Nikt nie woła „mama”, nie trzeba wycierać łez ani biegać po schodach tam i z powrotem. Nic, tylko siedzieć i kontemplować ciszę”.

- Każdy dzień spędzam z dziećmi. Teraz coraz bardziej doceniam moją matkę.

- Nigdy nie mówiłaś mi o swojej rodzinie. -Jesteśmy tylko ja i matka. Ojciec umarł, gdy

miałam dwadzieścia lat. W tym samym czasie wyszłam za Michaela. Matka przeniosła się na Florydę razem ze swoimi dwiema koleżankami.

Uświadomiła sobie, że wszystkie cztery były wdowami. To znaczy ona, matka oraz jej koleżanki. -Zbyt wielu samotnych ludzi jest na świecie.

-Jack spuścił głowę.

- Nie mogę pozwolić, byś była nieszczęśliwa. To wbrew zasadom.

- Jakim zasadom? - roześmiała się.

- Moim zasadom. Odkryłem, że nie mogę spokojnie myśleć, gdy jesteś nieszczęśliwa. Nawet nie wiesz, jak ważna w moim zawodzie jest jasność umysłu.

- Nie jestem nieszczęśliwa. - Jej głos był dziwnie łagodny. - Nie myśl o tym. Ważna jest tylko terażniejszość - tu i teraz. Zamknęła na chwilę oczy, gdy Jack musnął dłonią jej policzek. Wtedy, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, przyłgnęła ustami do dłoni Jacka. - Dziękuję - szepnęła.

Pogładził ją po twarzy.

- Za co?

- Za „tu i teraz”.

Przeniósł spojrzenie na rozchylone wargi. Jego usta z niezwykłą czułością musnęły jej usta. Przesunął głowę w dół, pieszcząc szyję. Drżącymi dłońmi wędrował po jej ciele, głaszcząc kark

i ramiona, by znów wrócić na piersi. Sophie miesiącami marzyła o tym, by spotkać mężczyznę, z którym dzieliłaby taką intymność. Jack czuł, jak przywiera do niego całym ciałem.

- Jesteś taka piękna. Taka słodka, taka dobra. Zamknęła oczy, wczuwając się w namiętne ruchy jego rąk. Zmęczenie nagle gdzieś zniknęło.

Powoli wracała do życia. Najpierw jej ciało: krew szybciej krążyła, każdy mięsień rozluźniał się. Potem umysł.

Naraz usłyszeli płacz dziecka.

- Jack - wyrwała się - Muszę już iść.

- Poczekaj - powiedział drżącym głosem. -Zaraz zaśnie.

- Nie, nie zaśnie. One są chore. Muszę się nimi opiekować.

Okazało się, że gorączka Jenny wzrosła i dziewczynka była mokra od potu. Sophie szybko zdjęła jej śpioszki i położyła na kocu elektrycznym.

- Spokojnie, kochanie - szeptała. - Musimy umyć cię i zmniejszyć tę gorączkę.

Jack stał w drzwiach. Zaaferowana Sophie przeszła obok, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Usiłowała skoncentrować się na ułożeniu w głowie listy rzeczy do zrobienia. Po

pierwsze: kąpiel Jenny; po drugie: przygotować butelki dla dziewczynek; po trzecie: zmienić prześcieradło; po czwarte: wypłukać brudne prześcieradło. Kilka minut później do łazienki wszedł Jack.

- Jessice zrobiło się niedobrze. Nie mogę znaleźć dla niej czystej pidżamy.

Sophie zakręciła wodę i włożyła Jenny do ciepłej kąpieli.

- Zajmę się tym za chwilę.

- Sophie. - Poczul się jak natręt.

- Słucham?

- Powiedz mi, gdzie są pidżamy?

- W małym pokoju na dole. Leżą w szafie na górnej półce.

- A prześcieradła?

- Też tam są - odparła ochryplym głosem. Obawiała się, że zacznie znowu płakać, więc zajęła się dzieckiem. Dziewczynka skupiła uwagę na żółtej, gumowej kacze, która pływała po wodzie. - Nie będę tutaj długo. Jak tylko położę spać Jenny, przyjdę ci pomóc.

- Dzięki. Myślę, że sam potrafię zmienić prześcieradło.

- Całą noc przy nich czuwałeś. Powinieneś wracać do domu i położyć się spać.

- Co?! Tęskniłem do takiego zamieszania jak tutaj! Proponuję, byśmy, gdy dziewczynki zasną, usiedli w kuchni przy stole i wypili po szklaneczce odżywki dla dzieci.

ROZDZIAŁ 6

Miał koszmar.

Dziwaczne stworzenie, półpies, półkurczak, ścigało go po ulicach Czarownego Lasku, gryzło w łydki, uderzało ogromnymi skrzydłami. Uciekał i uciekał, usiłując przypomnieć sobie, gdzie zaparkował samochód. Żaden dom nie wydawał się znajomy. Nagle zobaczył Jessikę, siedzącą na huśtawce przed supersamem. Piła sok marchewkowy i uśmiechała się nieświadoma zagrożenia. „To nie jest film - myślał. - To prawdziwe niebezpieczeństwo. Muszę obronić dziecko przed szponami tego potwora. Jestem jej jedyną nadzieją”. Podniósł Jessikę i mocno przycisnął do piersi. Stwór zbliżał się. Jack podbiegł do dużego, żółtego sedana, wgramolił się na tylne siedzenie i skulił się, wciąż trzymając Jessikę. Czuł uspakajające ciepło jej ciała. Delikatne kędziorki włosów dziecka muskały go w policzek. Szeptał do niej, by była bardzo, bardzo cicho. Trzeba trochę poczekać, aż potwór sobie pójdzie. Bylebyś tylko nie poruszyła się...

Bardzo wolno na palcach podeszła do sofy.

Jack bez koszuli leżał na plecach i obejmował Jessikę. Dziewczynka opierała głowę o policzek swojego obrońcy. Ssała przez sen palec. Pidżama leżała obok na podłodze. Sophie dotknęła czoła córki, by sprawdzić czy gorączka minęła.

W nocy Jack wziął grymaszącą Jessikę do salonu i tam czekał, aż Sophie położy Jenny spać. Gdy w końcu Jenny usnęła, usiadł na chwilę na fotelu na biegunach, by trochę odpocząć. Było to pięć godzin temu. Poczowała się bardzo głupio, że zostawiła Jacka sam na sam z tak kłopotliwą towarzyszką.

Jack niespokojnie poruszył się. „Pewnie męczy go jakiś koszmar. Nic dziwnego, po tylu nie przespanych godzinach”. Przypomniała sobie niedawne, słodkie chwile, smak jego ust, dotyk palców na jej spragnionym ciele. Znowu poruszył się, więc cofnęła się, by go nie obudzić.

Po dwóch latach zaakceptowała swoją sytuację. Przywykła żyć na twardym gruncie codzienności. Jack McMillan pojawił się na horyzoncie tak nagle jak burza. Zmienił w jej życiu dosłownie wszystko. On żył z dnia na dzień. Z entuzjazmem ryzykował swoje życie. Nie miał jeszcze stałego miejsca w jej świecie, lecz gdyby wyjechał, pozostawiłby po sobie przykrą pustkę.

**Ciche pukanie wyrwało ją z zamyślenia. Pobieгла do drzwi z nadzieją, że zdąży, zanim pukanie powtórzy się. „Ten facet jest przedsiębior-
capogrzebowym”-pomyślała, widząc przed sobą posepnego, czarnowłosego
mężczyznę. Miał na sobie czarny garnitur, w butonierce tkwił biały goździk.**

- W czym mogę pomóc? - zapytała. Cieszyła się, że Jack był w domu.

- Proszę wybaczyć, że panią niepokoję - rzekł miękko nieznajomy. - Czy byłaby pani w stanie udzielić mi informacji o moim bracie?

- Pańskim bracie? Nie rozumiem. Uśmiechnął się smutno.

- Oczywiście, że pani nie rozumie. Zapomniałem o dobrych manierach. Proszę pozwolić, iż się przedstawię: Patryk Quinn McMillan. Mój brat, Jack, od kilku dni mieszka w sąsiednim domu.

- Pan jest bratem Jacka? Przytaknął.

- Przyjechałem dziś rano. Jestem wielce niepokieszony, bo co prawda samochód brata stoi przed domem, ale na pukanie nikt nie odpowiada. Może pani potrafi mi pomóc?

- Chyba - rzekła powoli - będzie lepiej, jeśli pan wejdzie. Pański brat... - „leży właśnie półna-

gi na mojej sofie" - dopowiedziała w myślach -jest bardzo miłym człowiekiem. Nie wiem co bym bez niego zrobiła. Moje dzieci są chore, a Jack pomagał mi opiekować się nimi.

Przybysz kroczył za Sophie, stukając miękko obcasami butów o szpiczastych noskach.

- Jack? Czy mówimy o tej samej osobie? Średniego wzrostu...

- Tak, z pewnością. - Zatrzymała się przed drzwiami do pokoju i wskazała na śpiącego Jacka. - Oto on.

O zdziwieniu Patryka świadczyło jedynie lekkie uniesienie brwi.

- To rzeczywiście on - mruknął. - Zdaje się, że jakieś dziecko chodzi po nim.

- Jessika - szepnęła Sophie. Była to dla niej dość niezręczna sytuacja.- Wczoraj wymiotowała na koszulę Jacka, którą musieliśmy wyprać.

- Wymiotowała? - W oczach Patryka odbiło się przerażenie.

- Dla niego również był to szok.

Wtem obudziła się Jessika. Podniosła głowę i zaczęła wyprawiać harce na brzuchu Jacka. Jack otworzył oczy.

- To ty? - spytał, widząc Patryka.

- Ja - odpowiedział Patryk z satysfakcją. -Nie wyobrażasz sobie jak żałuję, że nie zabrałem ze sobą kamery, by uwiecznić tak niezwykle chwile.

Jack odchylił głowę, ponieważ Jessika postanowiła wydłubać mu oko.

- Co tu robisz?- spytał.

- Braterska miłość. Rodzina nie słyszała o tobie, odkąd wyjechałeś załatwić sprawę tego tajemniczego spadku. Ponieważ jechałem w interesach do Heleny, zdecydowałem złożyć ci małą wizytę. - Na twarzy Patryka zagościł uśmiech, wyraz powagi ustąpił miejsca chłopięcemu wręcz rozbawieniu. Teraz dopiero Sophie dostrzegła pewne podobieństwo między Patrykiem a Jackiem. - Musimy nadrobić wiele zaległości - dodał.

- Sophie - rzekł Jack - chciałbym przedstawić ci mojego młodszego brata, Patryka. On jest bardzo dziwny. Ochlapuje ludzi znikającym atramentem - mówił niewyraźnie, bo Jessika wkładała mu właśnie nóżkę do ust. - Patryku przedstawiam ci córkę Sophie, Jessikę. Jessika, powiedz „cześć” Patrykowi.

- Nie - burknęła mała.

- Jesteś bardzo miła. Niestety, Pat, nie darzy cię sympatią.
- Wezmę Jessikę do drugiego pokoju - powiedziała Sophie. - Sprawdzę, co z twoją koszulą, powinna być już sucha. - Zdjęła dziewczynkę z Jacka i wyszła z pokoju.
- Miła kobieta - rzekł Patryk. Jack usiadł i przeciągnął się.
- Naprawdę? Nie zauważyłem.
- Rozwiedziona?
- Wdowa. Dwoje dzieci, nie ma psa. Robi zakupy w pobliskim samie, piecze świetne rogaliki. Co jeszcze byś chciał wiedzieć? - Dostrzegł pytające spojrzenie brata. - Nic z tych rzeczy, Pat. Wierz mi.
- Ja nic nie powiedziałem - bronił się Patryk.
- To miło z twojej strony. - Wyruszył na czworakach na poszukiwanie swoich butów. Znalazł je pod stolikiem. - Muszę już iść. Trzeba nakarmić Muffina.
- Kto to jest Muffm, jej drugie dziecko?
- Mój nowy pies. Nie spotkałeś go jeszcze? Jest naprawdę uroczy.
- Przepraszam - powiedziała Sophie, wchodząc do pokoju. Niosła obie córeczki i koszulę.

- Koszula jest sucha. Została mała plamka na rękawie. Nie mogłam jej doprać, ale...
 - Nie przejmuj się tym - odparł Jack. Wziął od niej koszulę i włożył ją. - Jak czuje się Jenny?
 - Lepiej. Obie czują się lepiej. Myślę, że najgorsze już minęło.
- Patryk patrzył to na Jenny, to na Jessikę.
- Ma ich pani więcej w kuchni? - spytał.
 - Nie. Tylko tyle, co widać - powiedziała z uśmiechem. - Jessika jest w niebieskim, a Jenny w różowym.
 - Jessika to ta, która cię nie lubi - dodał Jack.
 - Obie są prawie tak piękne jak ich matka.
 - Czas na nas - rzekł Jack. Patrzył z zafascynowaniem na cienie pod oczami Sophie. - Poradzisz sobie?
 - Oczywiście.
 - Aspirynę zostawiłem na stole w kuchni.
 - Fajnie. Dzięki za wszystko.
- Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale na widok Patryka powstrzymała się.
- Wiesz, że kończy ci się zasypka dla dzieci? - zapytał Jack. - Kupić ci nową w aptece?
 - Mam jeszcze kilka opakowań w łazience. W każdym razie dziękuję za dobre chęci.
 - Jeszcze jedno: jak wczoraj przebierałem Jes-

sikę, zauważyłem małe odparzenie na pupie. Kupić jakąś maść?

- Dziękuję, mam.

- Tak? Świetnie.

Dostrzegł wytrzeszczone ze zdumienia oczy Patryka.

- O co ci chodzi? - spytał.

- Nic, nic. Zupełnie o nic.

Dopiero przed domem Jack zwrócił uwagę na białego goździka tkwiącego w butonierce marynarki Pata.

- Złożę się, że pryska wodą - powiedział.

- Taak. Mam nadzieję, że tak.

Baron von Muffin próbował na powitanie odgryźć przybyszowi nogę. Patryk spryskał go wodą z goździka i pies ze skomleniem uciekł pod stół.

- Ten potwór - rzekł - jest oszustem.

- Wiem - przyznał Jack. Wyjął z lodówki kilka butelek coli. - On tylko robi wielki show. Wymyśliłem dla niego nowe imię. Muffin, Pies Z Piekła Rodem.

- Po co go trzymasz?

- Nie mam wyboru. - Znalazł pod zlewem pu-

szkę z jedzeniem dla psów i położył na stole. -Jestem jego jedyną nadzieją. Możesz wierzyć lub nie. Pani Agnes przekazała mi go razem ze szczegółowymi instrukcjami, jak się nim opiekować. Zaufała mi. Jadłeś już śniadanie?

Patryk spojrział na colę oraz na puszkę pokarmu dla psa.

- Tak... jadłem, dziękuję. Powiedz mi coś o pani Agnes Dancie. Czy domyślasz się chociaż, dlaczego ta dama zapisała cały majątek właśnie tobie?

Jack opowiedział mu o Tomie, pokazał też zestaw kaset video.

- Nie potrafię tego inaczej wyjaśnić - zakończył.

- Ale nie jest to najlepsze wyjaśnienie. Mam uwierzyć, że ta miła, starsza pani zapisała ci wszystko, bo lubisz skakać z płonących budynków?

- Potrafisz wymyślić coś lepszego?

- Tak. Było jej przykro z powodu twojej pracy. Codziennie beztrosko ryzykujesz życie, tak jakbyś jadł bułkę z masłem. Chciała dać ci szansę zrobienia majątku, byś mógł porzucić pracę kaskadera i zająć się czymś pożytecznym, na przykład sprzedawaniem butów.

- Albo sprzedawaniem rupieci, tak jak ty -uciał Jack.

To był stały problem. Rodzina McMillanów posiadała sieć sklepów w Kalifornii, Oregonie, Waszyngtonie i Montanie. Patryk poszedł w ślady ojca i przejął interes. Jack wolał bardziej emocjonujące i ryzykowne zajęcia. Tę rodziną nie pochwalą.

- Takie jest życie - odparł Patryk z naciskiem.

- Jestem silny, braciszku. - Jack wysączył resztę coli i postawił butelkę na kredensie. Spojrzał przez okno na dom Sophie. - Prowadzę dokładnie takie życie, jakie mi odpowiada. Ilu znasz ludzi, którzy robią to, co lubią? Każdy powinien mieć takie szczęście jak ja.

Patryk podążył za wzrokiem brata. Lekki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Jak na człowieka, który robi to, co lubi, nie jesteś zbyt rozentuzjasmowany.

- No cóż... przez całą noc zajmowałem się ryczącym dzieckiem. Takie zajęcia i z ciebie wypędziłoby cały entuzjasm.

- Mam jeszcze jedno pytanie. Czy jakiś inny człowiek wszedł w twoje ciało?

- Co? - Jackowi opadła szczęka.

- Jack McMillan, którego znalazłem, nie wytrzymałby nawet dwóch minut z płaczącym dzieckiem. Nie miał zbyt dużej odporności. Jedna minuta może była interesująca ze względu na nowe doświadczenie, ale potem...

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cieszę się z powodu twojej wizyty - przerwał mu Jack. - Z pewnością tak zajęty facet jak ty musi zaraz wracać do Los Angeles.

- Ostatnio przepracowałem się. Zaniedbywałem swojego jedyne go braci szka. Wiesz, co powinienem teraz zrobić?

- Nnnnie, co? - spytał z obawą w głosie.

- Powinienem zostać tu kilka dni i pomóc ci w załatwianiu spraw spadkowych. Nie, nie dziękuj, chcę to zrobić. Nie zdarzyło się, byśmy byli razem dłużej niż kilka dni. To wstyd! Teraz jest idealna okazja, by to nadrobić.

Jack wlepił wzrok w Patryka.

- Będziesz się tutaj nudził. To jest cholernie małe miasteczko. Nie ma tu co robić.

- Nacieszę się spokojem i ciszą.

- Po jutrzejszej wyprzedaży nie będzie nawet na czym spać.

- Rozbijemy obóz na środku pokoju. Będzie-

my spać w śpiworach jak za starych, skautowskich czasów.

- Słuchaj, Pat, wracam do Los Angeles za kilka dni, jak tylko sprzedam dom, wtedy możemy pobyć razem.

- Jack, widzę, że koniecznie chcesz się mnie pozbyć. Masz jakiś szczególny powód, bym musiał zaraz wyjechać?

- Masz na myśli... czy sprawiasz mi kłopot?

- Tak, o to pytam.

- Nie przeszkadzasz mi.

- Wspaniale. Mam przeczucie, że najbliższe dni będą bardzo ciekawe.

- Nie ma nic fascynującego w wyprzedazy. Patryk chrząknął i poruszył brwiami jak Charlie Chaplin.

- Nie mówię o wyprzedazy. - Podszedł do zlewu i napelnił wodą pojemnik na goździk, ukryty w kieszeni. - OK, Jack, teraz jestem gotowy. W czym mogę ci pomóc?

- Wyprowadź Muffina na spacer.

Wieczorem Patryk odkrył paczuszkę za lustrem w łazience i opanowała go prawdziwa gorączka złota. Podczas gdy opróżniał słoiki z konfiturami w nadziei znalezienia jeszcze jednej pa-

czuszki, Jack wyszedł z domu. Musiał porozmawiać z Sophie. Nie wiedział, jak jej to powie aż do momentu gdy otworzyła drzwi. Jej oczy śmiały się do niego. Przebierała nerwowo palcami w tylnych kieszeniach dżinsów. Miała na sobie koszulę sięgającą prawie do kolan. Pomyślał, że pewnie koszula należała do jej męża. Przywitał się.

- Cześć^- odparła. Cofnęła się o krok i szeroko otworzyła drzwi. - Wejdz.**
- Dzięki. Jak się czują dziewczynki?**
- Dużo lepiej. Śpią, odrabiają zaległości. -Stała w holu nie wiedząc, co zrobić.**
- Może przeszkadzam?**
- Nie, skądże! - Po czym dodała ciszej: -Przejdźmy do salonu.**

Wyglądała tak słodko. Spod zbyt dużej koszuli wysunęło się nagie ramię.

- Wejść na momencik. Muszę zaraz wracać. Patryk przewraca dom do góry nogami.**

Znalazł aluminiową niespodziankę i oszalał.

- Ciagle tutaj jest?**
- Postanowił zostać i pomóc mi w czasie wyprzedaży.**
- To miło z jego strony. - Sophie poprawiła bukiet suszonych kwiatów stojący na stoliku.**

Ten sam, który Jack zauważył podczas pierwszej wspólnej kolacji. - Nie jesteście zbyt podobni do siebie.

- Tak podobni jak ogień i woda - odparł uśmiechając się. Podeszedł do kominka i podniósł pięknie inkrustowaną, drewnianą szkatułkę. -Bardzo ładne. Nigdy nie widziałem tak misternej roboty.

- Tutaj - powiedziała Sophie. Podeszła do niego, przekreśliła złotą gałkę na wieczku i otworzyła szkatułkę. Popłynęła cicha, spokojna melodia.

- Pamiątka? - Zamknął szkatułkę. - Zawsze lubiłem tę melodię.

- Dlaczego przyszedłeś? - szepnęła. Położył ręce na jej ramionach.

- Przyszedłem powiedzieć „Do widzenia”. Instynktownie cofnęła się.

-Teraz?

- Nie mogę być przy tobie... To było takie trudne. - Nie wiem, jak cię bronić.

- Przed czym?

- Przede mną. - Miał smutny wyraz twarzy.

- Nie obawiam się ciebie.

- Prędzej czy później kochalibyśmy się. Nie mogę cię mieć, Sophie. Nie mogę. Nie jestem

**odpowiednim mężczyzną dla ciebie. Nie chcę cię skrzywdzić.
Pocałowalją. Problemy, frustracje, bezsilność - zniknęły dzięki jednemu
pocałunkowi. Był to wstęp do czegoś, co nigdy się nie zdarzy. Oboje to wiedzieli.
- Bądź szczęśliwa, kochanie.
Gdy wyszedł, usiadła na fotelu obok kominka. Popłynęły jej łzy po policzku.
„Czemu płaczesz? Oplakujesz to, co straciłaś, czy to, czego nigdy nie miałaś?”
Nie wiedziała...**

ROZDZIAŁ 7

Wyprzedaż była w całej pełni. Tłum „łowców okazji” przewalał się przez wszystkie zakamarki domu. Ciężarówki i furgonetki na przemian przyjeżdżały i odjeżdżały, wywożąc kolejne cenne zdobycze. Talerze, książki, figurki oraz inne przedmioty poustawiane były na stołach i kocach rozłożonych na trawniku. Muffin został przywiązany do płotu tuż obok bramy.

- Powinieneś przywiązać go od strony ogrodu - powiedział Patryk przyglądając się, jak pies próbuje się uwolnić. - On oszalał, na każdego, kto wchodzi, patrzy jak na potencjalny obiad.

- Bezpieczniej jest mieć go na oku - odparł Jack. Niósł wielkie pudło książek, które znalazł w piwnicy. - Zrób na stole miejsce. Przesuń ten zielnik.

Patryk uśmiechnął się.

- Powiedz „proszę”.

- Przesuń ten cholerny zielnik!

- O! Wstaliśmy lewą nogą, co? - Zrobił wreszcie miejsce i cofnął się z ukłonem. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Jack rzucił karton z taką siłą, że o mało nie połamał stołu.

- Trzeba by trochę ożywić nasze towarzystwo - rzekł Patryk.

Wskazał na tęgą kobietę przebierającą właśnie w kartonach. - Na szczęście przygotowałem małą niespodziankę.

- Pat! Co znowu...

Naraz kobieta podskoczyła z wrzaskiem, wyrzucając w górę ręce.

- Gumowy grzechotnik - wyjaśnił Patryk. Jack pozostał nieporuszony, nawet cień uśmiechu nie zagościł na jego twarzy. Miał ochotę tylko na jedno: chciał okręcić gumowego węża wokół szyi Patryka i udusić brata.

- Czy wymyśliłeś coś jeszcze? - spytał.

- Może. Obawiam się jednak przyznać do czegokolwiek, biorąc pod uwagę twój zły humor. W porównaniu z tobą Muffin jest najłagodniejszym stworzeniem na ziemi. Co, do diabła, w ciebie wstąpiło?

- Nic, do diabła! Teraz, zanim ktoś dostanie ataku serca, powiedz mi, co jeszcze ukryłeś.

- Psujesz tylko zabawę. Poza tym, masz za długie włosy, a twój kolczyk wygląda głupio.

- A ty ubierasz się jak półgłówek.

Patryk spojrział na ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę i wiśniowy, szeroki krawat.

- Co niewłaściwego widzisz w moim ubiorze? Zwykle jestem zadowolony ze swojego wyglądu.

- To jest wyprzedaż, Patryku! Wyprzedaż, a nie party. Czemu nie włożysz džinsów jak reszta ludzkości? - Jack wiedział, że jego argumenty nie są racjonalne. - Idź rozbroić swoje pułapki.

- Powiesz mi w końcu, co cię trapi? - zapytał Patryk, wyciągając z pudła puszkę solonych orzeszków.

- Nic mnie nie trapi. Co jest w tej puszcze?

- Wąż wyskakujący na dwa metry w górę. Stary trik, ale skuteczny.

- Coś jeszcze?

- Całkiem możliwe. - Patryk rozejrzał się. -Gdzieś jeszcze jest... Mogłoby być dużo więcej zabawy, gdybyś wykazał trochę zrozumienia.

- Nie licz na to - powiedział Jack, patrząc na Kim Christy idącą ulicą w stronę domu Sophie.

Pomachała do niego. Uczynił to samo.

- Nie jestem w nastroju do okazywania zrozumienia.

- Jak widzę, coś się wczoraj wydarzyło. Sophie otworzyła Kim drzwi.

- Nic się nie wydarzyło

- Czy mógłbyś mówić do mnie? - Patryk podążył za jego spojrzeniem. - Chciałbym ci pomóc.

Kim weszła do środka i Sophie zamknęła drzwi. Jack westchnął głęboko, po czym odwrócił się do brata.

-Nie martw się o mnie, braciszku... Wszystko jest w porządku.

Sophie nie widziała Jacka od dwóch dni, czyli od niedzielnej wyprzedaży. Jaguar oraz samochód Patryka stały wciąż w tym samym miejscu. Nie miała pojęcia, co przez ten czas jedli ani na czym spali. W niedzielę spędziła sporo czasu podglądając Jacka przez żaluzje w pokoju dzieciennym. Patrzyła wtedy świadomie, że nazajutrz nie zobaczy go już, a przed domem będzie stała tabliczka: NA SPRZEDAŻ.

W poniedziałek przypadkowo ujrzała Patryka, jak z małą walizeczką szedł do samochodu. Usiadła w fotelu, trzymając Jessikę na kolanach. Zapatrzyła się w motyla z bibułki, kołyszącego się nad łóżeczkiem.

Niecałą godzinę później zjawił się Patryk. Przyniósł prezent dla dziewczynek - dwie lalki Barbie.

- Jestem za emancypacją kobiet - powiedział wręczając lalki. Usiadł w kuchni na taborecie, podczas gdy Sophie ucierała warzywa dla dzieci. Jessica i Jenny zaczęły zdejmować lalkom ubranka. - Poza tym były na wyprzedazy.

- Nie powinien pan robić sobie kłopotu - rzekła Sophie. Zastanawiała się po co przyszedł. Ledwie знаła tego mężczyznę. - Aktualnie dziewczynki czują się dobrze i akceptują pańskie prezenty bez fałszywej skromności.

- To miło. Proszę traktować to jako pożegnalny podarunek. Dzisiaj wyjeżdżam. Sophie upuściła łyżeczkę prosto do gotującej się marchewki. Wzięła następną i wyłowila upuszczoną. Jeśli Patryk wyjeżdża, to i...

- Nie spodziewałam się, że wyjedzie pan tak szybko - odparła spokojnie. - Czy Jack wystawia dom na sprzedaż?

- Tak, zrobi to po południu.

Patryk zajął się Jessiką. Kiwał do niej palcem.

- A kuku, malutka. Powiedz „do widzenia” wujkowi.

-Nie.

- Powiedz „lala”.

- Nie.

- To musi być Jessika. Jack miał rację, nie lubi mnie.
- Ona jest w okresie, który przechodzi każda dziewczynka. Po prostu lubi mówić „nie”.
- Znam wiele kobiet, którym ten okres jeszcze nie minął - powiedział zamyślony Patryk. - O czym to mówiliśmy? Ach tak, o domu. Jack zrobi po południu elegancką tablicę. Powiedział, że najważniejsza jest dobra reklama.
- Wyjeżdża wieczorem? - Zamknęła oczy, zrobiło jej się gorąco.
- Nie. Ktoś przychodzi jeszcze odebrać fortepian i Jack musi czekać na niego do wieczora. W domu oprócz fortepianu została tylko miska Muffina. Sophie wyłożyła ugotowaną papkę na talerzyk i posypała z wierzchu cukrem i cynamonem.
- Pewnie tęskni do jaskrawych świateł Los Angeles.
- Tak pani sądzi? Ostatnio Jack sprawił mi wiele niespodzianek. Lepiej już wyruszę. Muszę zdążyć na południowy samolot. Cieszę się ze spotkania z panią i z prześlicznymi dziewczynkami. Potrząsał długo jej ręką.
- Gdy wyszedł, Sophie nakarmiła maluchy, po-

sprzątała kuchnię i trzy razy napełniła zmywarke naczyńmi. Cały czas była w ruchu. Nie przestawała jednak rozmyślać. Jeszcze jedną noc mógłby zaczekać z wyjazdem, a potem zniknąć z jej życia. W przeciwnym razie nigdy nie dowie się, co znaczy kochać się z nim. Będzie mogła wyobrazić sobie, marzyć, ale nigdy nie będzie wiedziała. Nie będzie ciepłych wspomnień, gdy odjedzie. Pozostaną jedynie nie spełnione marzenia.

Podeszła do okna w kuchni, wspominając chwile, kiedy pierwszy raz go zobaczyła. Od tamtego czasu minął tylko tydzień. Czy to możliwe? Jak wiele zmienił w jej monotonnym życiu! Teraz pragnęła czegoś więcej...

W śpiworze zaciął się zamek błyskawiczny. Jack nie mógł przesunąć go ani do przodu ani do tyłu. Pozostało zwinąć się w kłębek i wpelznąć przez dziurę. Rozebrał się, a potem wszedł do śpiwora. Przypomnił sobie o pozostawionej w drugim pokoju poduszce. Wygramolił się ze śpiwora i poszedł po nią. Miał na sobie tylko slipy.

Wykrzywił twarz jeszcze bardziej niż do tej pory. Wrócił do pokoju. Po wywiezieniu fortepianu nie wiedział sam,

co go jeszcze trzyma w tym starym domu. W okolicy jest tyle moteli z wygodnymi łózkami. Dlaczego został w zimnym, pustym domu, mając za towarzysza jedynie psa? Co chciał zyskać? - Lepiej nie odpowiadaj - mruknął do siebie.

Muffin leżał w kącie, wodząc posępnym wzrokiem. Wszystkie jego ulubione kanapy i fotele już wywieziono. Jack wiedział, że gdy zaśnie, pies rozłoży się na nim niczym na materacu. Z zamyślenia wyrwało go głośnie pukanie. Wskoczył szybko w spodnie.

Przekonywał siebie, że to z pewnością nie Sophie. Jest jedenasta w nocy, nie zostawiłaby przecież dzieci samych. Ale zawsze istnieje cień szansy...

Serce zabiło gwałtownie, gdy w progu zobaczył właśnie ją. Ubrana była w podomkę.

- Co się stało? Dzieci? Czy któraś jest chora? Więc co?

- Nie, nic z tych rzeczy. - Sophie drżała, chociaż nie było zimno. - Jenny utkwiała w łazience.

-Jak to?

- Nauczyła się sama wychodzić z łóżeczka. Gdy byłam w kuchni, poszła do łazienki i zamknęła drzwi. Miałam nadzieję, że...

- Zaraz idę, tylko się ubiorę.

Sophie pobiegła do domu, nie czekając na niego. Chciało jej się płakać.

Gdy wbiegł po schodach, klęczała przed drzwiami, próbując otworzyć zamek za pomocą spinki do włosów.

- Czym chcesz to otworzyć? Spinką? - spytał. - Nie dasz rady. Przynieś wieszak do ubrań.

Pobiegła do szafy. Jack zabawiał w tym czasie Jenny, naśladowując głosy zwierząt.

- Gu-gu - odpowiedziała mu dziewczynka.

- Jak mówią pieski? Powiedz, jak mówią pieski?

- Grrrr - rozległo się za drzwiami.

- Masz wieszak. - Sophie uklękła obok i przyłożyła ucho do drzwi. - Jenny! Jak się czujesz?

- Ma się nieźle - rzekł. - Nie martw się. Będziesz ją miała z powrotem, zanim zdążysz policzyć do... jednego.

Zamek szcęknął i Jack otworzył szeroko drzwi. Sophie podniosła córkę i przycisnęła ją do siebie. Jenny uśmiechała się do swojego wybawcy.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała uradowana Sophie. - Wiesz, próbowałam otworzyć wieszakiem, ale mnie się to nie udało.

Jack uśmiechnął się.

- Codziennie wieczorem przez godzinę trenuję otwieranie zamków - rzekł. - Uścisnął obie dziewczyny. Sophie pod podomką była prawie naga. - W każdym razie, cieszę się, że mogłem pomóc. Pójdę już, musisz zająć się...

- Jack - powiedziała Sophie.

- Słucham?

- Nie, już nic. To nie ma znaczenia. Powinam to wiedzieć. - Zniosła dziecko do pokoju. - Masz swoją buteleczkę. Bądź dobrą dziewczynką i zostań w łóżku.

- Grrrr.

- Co nie ma znaczenia? - usłyszała za sobą Jacka.

- Mów szeptem, bo obudzisz Jessikę.

- Wyjdźmy stąd i porozmawiajmy. - Wziął ją za rękę i pociągnął w kierunku korytarza. - Teraz powtórz mi to, co mówiłaś przed chwilą.

- Powiedziałam, że to bez znaczenia. - Wyswobodziła rękę i schowała za plecami. - Nie wiem, dlaczego myślałam, że temu podołam. Najpierw dzieci nie chciały spać. Potem rozdarłam swoją najlepszą wieczorową suknię o gwóźdź w szafie. Potem Jenny utkwiała w łazience. Nie mogę znaleźć koronkowego bikini. Stoję tutaj w najokropniejszej koszuli i szlafroku

i szlag mnie trafia. Chociaż nie ma w tym nic dziwnego, bo w moim życiu wszystko tak właśnie się układa.

Ruszyła do sypialni, zostawiając zaskoczonego Jacka.

W jej słowach można było znaleźć pewien sens, ale dla Jacka nie było to takie łatwe.

Podążył za nią.

- Powtórz to wszystko powoli od początku -powiedział.

- Nie przejmuj się mną. - Siedziała na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach. - Mówiłam po chińsku.

Usiadł obok niej. Podobnie jak ona przyglądał się swoim butom.

- Niepotrzebnie stwarzasz problemy.

- Ja to wszystko zaplanowałam.

- Stwarzanie problemów?

- Nie. Pretekst. Nie śmieję się ze mnie, proszę. Minęło trochę czasu, zanim Jackowi wróciła

zdolność mówienia.

- Nie jest mi do śmiechu, jak widzisz.

- Myślę, że winna jestem ci wyjaśnienia. Może my...

- Może co? Patrzyła przed siebie.

- Wszystko idzie źle. Siedzę tutaj w całej swej krasie - kobieta, która doprowadza facetów do szaleństwa.

- Święta racja.

- Nie przytakuj.

- Staram się nie pobłażać ci.

- Musisz mi to ułatwić. - Sophie wstała, szlafrok zsunął się na podłogę. - Spójrz na kształty pod koszulką. Czy nadal potrafisz się kontrolować?

Jack oniemiał. Emocje zabarwiły policzki Sophie ciemną purpurą. Włosy spadły na ramiona, złote pukle pięknie kontrastowały z bielą koszulki. A oczy... oczy były wilgotne i ciepłe.

- Nie - szepnął. - Czuję, że właśnie tracę kontrolę. - Wstał powoli, nie odrywając wzroku od wspaniałego widoku. - Nie potrafię opierać się za nas oboje. Nie jestem aż tak silny.

Sophie zacisnęła dłonie w pięści, by nie widział, że drżą.

- Dobrze - rzekła miękko.

ROZDZIAŁ 8

Tak wiele razy myślał o tym, co teraz się spełniło. Leżał, patrząc na nieprzeniknioną czerń nieba. Zastanawiał się, czy Sophie śpi, czy myśli o nim. Mówił sobie: „To nigdy się nie stanie”. Ale pragnął tego bardziej niż cegokolwiek innego.

Dla niego była wszystkim. Łączyła w sobie tak wiele cech: dziecięcą nieśmiałość i świeżość, matczyną opiekuńczość i małżeńską wierność. Była kobietą, której pragnął, wpatrywał się w nią z uwielbieniem.

Było tyle do powiedzenia, ale nie wiedział, od czego zacząć. Wrażenia były zbyt świeże, zbyt gwałtowne, by ubrać je w słowa. Drżała mu ręka, gdy odgarniał jej włosy z oczu. Dotknął ustami jej ust. Chciał jakoś się odwdzińczyć, dać jej więcej przyjemności, niż sam otrzymał. A przede wszystkim starał się wszystko zapamiętać.

- Sophie... - powiedział cicho, jakby do siebie. Wymówił jej imię jakby była skarbem, którego nadzieję znalezienia dawno już porzucił.

- Chciałabym, abyś zrozumiał - szepnęła. - To jest mój wybór. Nigdy nie wybaczyłabym so-

bie, gdybyś wyjechał i nie stalibyśmy się jednym.

- Ja również nie wybaczyłbym sobie tego.

Znów połączyli się pocałunkiem, najpierw delikatnie, z czułością, później z rosnącym pożądaniami. Jack starał się powściągnąć to, co teraz czuł, lecz było to zbyt trudne.

- Nie musisz być aż tak delikatny. Ja również potrzebuję tego co ty. Pragnę cię...

Do rajskiego ogrodu, wkroczyła niepożądana rzeczywistość. Sophie usłyszała płacz którejś dziewczynki. Zastygła w bezruchu. Jack podniósł głowę, wpatrywał się w jej oczy z uśmiechem.

- Zaraz zaśnie - powiedział z przekonaniem. I rzeczywiście zasnęła.

Gdy Sophie obudziła się, Jacka nie było przy niej. Wstrząsnęły ją dreszcze, poczuła się samotna w wielkim łóżku. Zastanawiała się, czy to wszystko jej się śniło.

Podniosła z podłogi szlafrok i włożyła go. Zegar wskazywał dziewiątą. Dziewczynki nie spały nigdy dłużej niż do szóstej. Gdzie one są? Gdzie jest Jack? Dlaczego wyjechał bez pożegnania?

Odpowiedź czekała w pokoju na dole. Jack siedział razem z Jenny i Jessiką na dywanie. Na

kolanach miał pełno różowych, plastikowych wałków do włosów. Jessika miała już cztery wałki wplecione we włosy, a jeden z nich huśtał się nad jej noskiem. Jenny siedziała przed Jackiem i cierpliwie znosiła czesanie dziecięcym grzebieniem.

- W porządku, słonko. Chciałbym tylko wiedzieć, która ty jesteś. Założymy ten wałeczek starannie, dobrze?

- Auuuuu.

- Zabolalo? Przepraszam. Czy jesteś pewna, że musisz mieć te wałki? Dobrze, już dobrze... Ooops. Nie płacz, bo obudzisz mamę.

Jenny zauważyła wałek przed oczyma.

- Ładna.

- Tak, ładna, ładna. Zaraz będziesz taka ładna jak twoja mamusia.

Sophie nie mogła nie roześmiać się. Kochała Jacka delikatność, szczerłość i zabawną determinację, z jaką zakładał wałki. Te ręce, tak wspaniałe w pieszczotach, wyglądały teraz na olbrzymie i niezgrabne przy miniaturowym grzebieniu i wałeczkach. „To wymaga praktyki - pomyślała. - Nie byłby taki niezgrabny po pewnym czasie”.

Weszła do pokoju, śmiejąc się z nagłych rumieńców na policzkach Jacka.

- Nie przeszkadzaj sobie. Tylko popatrzę. Zawsze lubiłam takie sentymentalne sceny. Jack upuścił walek i patrzył, jak toczył się po podłodze.

-Do dzisiaj nie wiedziałem, jak śliskie są włosy. Jak kobiety dają sobie z tym radę?

- Ładna - powiedziała Jenny, patrząc z zawiścią na siostrę.

- Nie - odpowiedziała Jessika, rzucając w siostrzyczkę gazetami ze stolika.

Jack wskazał palcem Jessikę.

- Wiem, że jesteś Jessika. A ty jesteś Jenny. -Wskazał na Jenny.

- A mnie pamiętasz? - zapytała Sophie. - Jak mam na imię, wujku Jacku?

Jack usiadł w kucki. Zastanawiał się.

- Twarz jakby znajoma. I ten szlafrok też pamiętam. Daj mi minutkę, zaraz sobie przypomnę. - Naraz szeroki uśmiech rozpromienił mu twarz. - Dzień dobry, kochanie!

Chciał rzucić się w objęcia Sophie, lecz coś w spojrzeniu Jessiki powstrzymało go.

Patrzyła tak słodko i ufnie; nie miał pojęcia, co dziecko mogłoby sobie pomyśleć.

Uśmiechnął się do dziewczynki.

- Usłyszałem, jak bliźniaczki obudziły się rano. Czy one zawsze wstają o wpół do siódmej?

- Czasem... - Sophie rozbawiło to naiwne pytanie. Jack nie wiedział, że dzieci najczęściej nie śpią już od piątej.

- W każdym razie, zająłem je czymś, byś mogła dłużej pospać. I... - przerwał dla wzmocnienia efektu - zmieniłem im pieluszki, a potem ubrałem. Później zrobiliśmy sobie śniadanie. Dałem im łyżeczki ale wołały używać palców. Nie lubią łyżeczek?

- Przeważnie sama je karmię. Nie wiedzą jeszcze zbyt dobrze, jak się nimi posługiwać.

Dopiero teraz zauważyła, jak dzieci są dziwnie ubrane. Jenny miała na sobie zielony kombinezon, różowe skarpetki i czerwoną koszulę, Jessika żółte śpiochy założone tył na przód. Resztki śniadania widać było wszędzie.

- Po śniadaniowej walce na kaszkę i dżem Jenny... albo Jessika... tak, to była Jessika, przyniosła z łazienki plastikową torbę pełną wałków do włosów. Powiedziała, że chce być ładna.

Sophie spojrzała na wałki dyndające nad czołem córeczki.

- Jaka jesteś ładna, Jessi.

- Nie. - Jednak po chwili dziewczynka poprawiła się. - Tak!

Sophie założyła Jenny kilka wałków, próbując nie zwracać uwagi na ciszę, jaka zapadła. Przyglądała się Jackowi. Wydawał się mieć teraz tylko znikomy związek z cywilizacją. Bardziej pasował do egzotycznych krajobrazów tropikalnych lasów, słonecznych plaż.

- Dlaczego patrzysz w ten sposób? - spytał Jack.

- W jaki sposób?

- Tak z daleka i... jakoś smutno. Dobrze się czujesz?

- Świetnie - odparła z przesadnym entuzjazmem. - Trzeba przewinąć Jenny. Zabiorę ją na górę.

- OK - odrzekł wstając. Wycelował dwa palce w Jessikę. - A ty, kurczaku, i ja posprzątamy w kuchni.

- Nie ma potrzeby - powiedziała szybko. - Zaraz wracam. Odpocznij.

- Odpoczywanie nie idzie mi najlepiej. Chodźmy, Jessi, nie chcemy przecież, by mama zobaczyła ten rozgardiasz w kuchni.

Sophie zaniósła Jenny na górę i położyła w łóżku. Słuchała ze zgrozą dźwięków docho-

dzących z dołu. Brzęk talerzy, rzucanie kubkami, zgrzyty, stuki... Takie rzeczy nigdy nie zdarzają się w romansach. On i ona zawsze mają czas, by rozkoszować się na plaży słońcem. Nigdy natomiast nie stykają się z brudnymi pieluszkami, kapryśnymi dziećmi i z nie posprzątaną kuchnią.

Jenny miała odparzoną pupkę, więc Sophie posmarowała zaczerwienione miejsca maścią. Dała Jenny lalkę do zabawy i wyjrzała przez okno.

Widziała ogród i równe klomby, z których była taka dumna. W drugiej części ogrodu, na tyłach domu, uprawiała fasolę, truskawki, jagody ogrodowe, winogrona i porzeczki. Uwielbiała pracę na świeżym powietrzu. Zwykle spędzała w ogrodzie wiele godzin. Kochała swój dom. Była tutaj szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa. Należała do tego miejsca.

Usiadła w fotelu na biegunach i patrzyła na dziecko.

- Kocham cię - szepnęła. - Ciebie i twoją siostrzyczkę, całym sercem, ale teraz chciałabym poczuć, co to znaczy, ja", mieć jeden dzień tylko dla siebie. Nie martwić się o nic. Czy to coś złego? - Jenny w odpowiedzi pomachała czerwonym, gumowym kółkiem. - Myślę, że wytrzymałabyś beze mnie jeden dzień.

- **Ja nie wytrzymałbym - usłyszała. Jack stał oparty o framugę z rękami skrzyżowanymi na piersi.**
 - **Zapraszamy - powiedziała miękko. - Uciekam z domu.**
 - **To jedno z moich ulubionych zajęć. Dokąd uciekasz?**
 - **To nie ma znaczenia.**
 - **Co masz zamiar robić?**
 - **Cokolwiek - wzruszyła ramionami.**
 - **Coraz lepiej. Kiedy wyruszasz?**
 - **Już. - Wybiegła na korytarz.**
 - **Nie zapomniałaś czegoś? - Jack spoglądał na Jenny. - Albo kogoś, kto jest trochę podobny do Jessiki?**
 - **Co? - Głos Sophie dochodził z sypialni.**
 - **Jak szybko niektórzy zapominają - powiedział do Jenny, po czym dodał głośno: A co z bliźniaczkami? Pamiętasz je? Takie małe, różowe, wielkości dużego zajaca. Jedno masz tutaj, a drugie na dole.**
- Sophie wychyliła głowę zza drzwi do sypialni, w dłoni trzymała słuchawkę telefonu.**
- **Dzisiaj moje najśłodsze, małe anioły, które kocham ponad wszystko, zostają same. Zamówiłam opiekunkę.**

ROZDZIAŁ 9

Jadąc za miasto, zatrzymali się przed supersamem. Jack twierdził, że żadna wielka przygoda nie może obejść się bez chipsów. Zadowolili się wielką paczką oraz kilkoma butelkami coli. Ku jego zdumieniu Sophie złapała za wózek i popędziła między regały. Zaczęła wrzucać do wózka co popadło.

- Potrzebujemy czekolady - powiedziała, biorąc po jednej tabliczce z każdego rodzaju. - i coś dla odmiany. Lubisz kwaśne galaretki cytrynowe? Oprócz tego arbuz i batony jabłkowe. Weź też kilka batoników czekoladowo-kukurydzianych. Ach! I jeszcze chrupki... i co jeszcze?

- Krople żołądkowe - rzekł Jack.

- Zapomniałam o gumie do żucia i miętusach... i babeczkach! Co jeszcze? Twoje chipsy! - Na szczyt sterty produktów położyła wielką paczkę. - Wspaniale. Co chcesz do picia?

- Polubię chyba mleko. Nie znałem cię od tej strony. Dobrze się czujesz? Nie zjadłabyś zdrowych kiełków lucerny albo przecieru marchewkowego?

- Nie nabijaj się. Wracam do dzieciństwa.

Chcę sobie pofolgować, spełnię teraz każdą zachciankę, jaka tylko przyjdzie mi do głowy. A mam ochotę na wszystko.

Przy kasie okazało się, że ani Jack, ani Sophie nie mają tyle pieniędzy, by zapłacić za sklepową bonanzę. Jack użył więc karty kredytowej. Kasjer aż zacierał ręce z radości, gdy ujrzał rachunek. Zanim donieśli zakupy do samochodu, Sophie zdążyła spałaszować dwie babeczki.

- Stworzyłem potwora - powiedział Jack, wkładając kluczyk do stacyjki.

- Nie wiń siebie, miałam taki kaprys. Mogę poprowadzić?

-Nie.

- To kaprys - powiedziała z nadzieją.

- A to jest mój nowy jaguar. Kosztuje mnóstwo, mnóstwo pieniędzy i kocham go. To nie jest kaprys.

- Będę bardzo ostrożna, słowo. Nie pojedę szybciej niż pięćdziesiątką.

„Pięknie zmyśla. I wygląda pięknie” - pomyślał.

- OK. - Ciężko westchnął. - Ale będziesz jechała wolno, przyrzeknij. Ten samochód ma niezłe przyśpieszenie i można łatwo wylądować na drzewie.

- Obiecuję - rzekła uradowana Sophie.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Przypominała Alicję z Krainy Czarów. Biały wełniany sweter sięgał poniżej bioder, a błękitne džinsy wyglądały jak druga skóra. Nie dałby więcej niż szesnaście lat tej zgrabnej dziewczynie.

- Już zaczynam tego żałować - mruknął, przechodząc na fotel pasażera. - Dokąd masz zamiar jechać?

- Nie jestem pewna - odparła tajemniczo. - Będę wiedziała, jak dojedziemy.

Spojrzała na deskę rozdzielczą z mahoniowego drewna. Dziesiątki różnych przycisków, wskaźników i lampek - przypominało to bardziej statek kosmiczny niż samochód. Zastanawiała się, czy jaguar mógł latać.

Dziesięć sekund później mknęli szosą. Może nie była to prędkość światła, ale dla Sophie ta jazda była wystarczająco ekscytująca. Dawało jej to poczucie wolności.

- Nie słyszę żadnego płaczu dzieci! - Usiłowała przekrzyczeć szum wiatru. - Nie muszę sprzątać ani gotować, ani nic...

- Ale czy musisz mieć otwarte okno? - spytał Jack. Wspinali się właśnie serpentyną i powie-

trze stawało się coraz zimniejsze. - Zdaje się, że mam oszronione uszy.

- Myślałam, że lubisz niebezpieczeństwo.

- Przede wszystkim mam wrażliwe uszy.

- Dobrze, dobrze - z westchnieniem zamknęła okno. - Nie wiem, jak możesz robić tyle ryzykownych numerów, będąc tak wrażliwym.

- Talent, wprawa i odwaga. Poza tym, robię to tak, by moje wrażliwe uszy były zawsze ciepłe.

- Wiesz, czego mi brakuje? - Wodziła palcami po kierownicy, podziwiając widoki za oknem. - Miałam kiedyś kabriolet i zawsze jeździłam z opuszczonym dachem.

Uwielbiam czuć wiatr na twarzy. Nawet gdy zalatuje spalinami. W Kalifornii zawsze było ciepło. Montana jest zimna przez sześć miesięcy w roku.

- Co robiłaś w Los Angeles, zanim przeniosłaś się tutaj? - Było to proste pytanie, więc Jack zdziwił się, widząc na twarzy Sophie wszystkie odcienie czerwieni. - Pytałem, co...

- Słyszałam, o co pytałeś - wyprostowała się w fotelu i odgarnęła włosy z czoła. - Tylko trudno mi wyjaśnić. Byłam... częściową modelką.

- Że co? - Podrapał się w brodę.

- Częściowa modelka. Jestem zbyt niska na

pełną modelkę, więc zostałam częściową. Wiesz, te wszystkie zdjęcia w katalogach.

- Ach, tak. - Zastanawiał się, którymi częściami pozowała.

- Czasem fotografowano moją dłoń w rękawiczce, czasem stopę w sandałach.

- A bielizna?

- Czasami w bieliźnie.

- W majteczkach też?

- Też. Matka jest strasznie dumna z mojej dawnej posady. Trzyma w domu album z moimi zdjęciami. Pokazuje go wszystkim swoim znajomym. „Tutaj jest ucho mojej Sophie z kolczykiem. Czyż jej małżowina nie jest urocza? Patrzcie! Tutaj noga mojej córki w bucie ze skóry aligatora. A to widzieliście? Nie myślałam, że bielizna może tak kobieco wyglądać”. Tak zwykle mówi.

- Moje fotografie z dzieciństwa są okropne -powiedział Jack. - Obiecał sobie, że kupi przy pierwszej okazji katalog wysyłkowego domu towarowego. - Lubiałaś tę pracę?

- To była ciężka praca, ale dobrze płatna. Mogłam opłacić studia. No... prawie - uśmiechnęła się. - Brakowało mi sześciu miesięcy do dyplomu, gdy spotkałam Michaela.

Uśmiech zniknął z twarzy Jacka. To była dla niego nowość. Stanąc nagle poza centrum zainteresowania całego świata. Ciągle go irytowało, że Sophie kochała i być może nadal kocha mężczyznę o imieniu Michael. Z wymuszoną obojętnością zapytał:

- Jak go spotkałaś?

- To długa historia. Byłam na wycieczce w kanionie Topanga. Pośliznęłam się i spadłam. Nie było tam zbyt wysoko, może dwa metry. Skaleczyłam głowę, rana wymagała zszycia. Michael miał wtedy dyżur w szpitalu Świętego Krzyża w Los Angeles. Reszty można się domyśleć.

- Potem poślubił cię i zabrał tutaj.

- Co? Ach, tak. Nigdy nie żałowałam, że wyjechałam z Kalifornii. Los Angeles jest dla mnie za duże, za szybkie, za brudne. Tam nie ma nigdy czasu na... życie. Na to, by oglądać wschód słońca, spacerować w deszczu czy odwiedzać sąsiadów. Właśnie na takie małe rzeczy.

„Małe rzeczy” - pomyślał Jack. On nie miał zbyt wiele czasu na tego rodzaju sprawy. Zawsze zajmowała go pogoń za wielkimi osiągnięciami.

-Nie było ci trudno zostawić wszystko i przeprowadzić się na drugi koniec kraju?

- Mówiłam ci, nie lubiłam Los Angeles... Hej! Patrz!

Jack zeszywniał ze strachu.

- Co?! Na co mam patrzeć!

- Piękne miejsce na piknik. - Sophie nacisnęła hamulec. - Pytałeś, dokąd jedziemy.

Masz teraz odpowiedź.

- Łatwo cię zadowolić - rzekł, patrząc na stare, drewniane stoły ukryte wśród drzew. -

Robimy tutaj piknik?

-Tak.

- Chcesz jeść tak wstrętne, niezdrowe rzeczy jak karmelki i krakersy?

- No pewnie.

- I będziemy rzucać orzeszki wiewiórkom i zeskrobywać żywicę z mojego samochodu? - spytał, obejmując ją czule. - Romantyczność -kto powiedział, że umarła?

Znaleźli o wiele lepsze miejsce na piknik niż przy zbutwiałych stołach. Po dziesięciu minutach spaceru odkryli polankę z bujną, soczystą trawą. Usadowili się na przyniesionym kocu obok powalonego drzewa. Jack rozkoszował się jesiennym słońcem, a Sophie splatała wianki.

Nie szło jej to najlepiej, bo różne myśli zaprzętały jej głowę.

- Nie mówisz zbyt dużo - odezwał się Jack.

- Myślę.

- Babeczkę dla lepszej koncentracji?

- Wszystkie zjedliśmy.

- A może batona?

- Kuisz.

„Jak to wyrazić? - myślała. - Dzisiaj wyruszyłam na poszukiwanie wolności, chciałam pozbyć się wszelkich obaw i hamulców. Cóż, mam wolność, ale hamulce pozostały”.

- Wracajmy.

- Mam zawieźć cię do domu?

- Nie. Nie do domu. Chciałabym wrócić do dzisiejszego poranka. Chciałabym, aby świat był inny.

-Jaki?

Miłosne wyznania nie są łatwe dla matki dwojga dzieci. Wianek, który plotła, rozpadł się w jej palcach. Teraz nie wiedziała, co począć z rękami.

- Ja... cóż, wiem, że inne kobiety... - Nie, nie to chciała powiedzieć. - Wiem, że ze mną jest inaczej. Pieluchy, dzieci... zwykle nie kojarzą się z...

- **Z miłością? Skinęła głową.**
- **Może się mylę, ale uważam, że wszystko, co działo się dziś rano, jest częścią miłości.**
- **A romantyczność? Czy jestem samolubna, pragnąc romantyczności?**

Studiował rysy jej pięknej twarzy przypominając sobie, jak rozczulająco wyglądała podczas snu i jak trudno było oderwać oczy od tego widoku.

- **Romantyczność nie umarła, czeka na nas.**
 - **Czasem chciałabym być bardziej egoistyczna, impulsywna i nieodpowiedzialna. Nie zachowywać się jak matka, nie przejmować się niczym i zaspokajać tylko własne pragnienia.**
 - **Powiedz, czy byłoby czymś niewłaściwym, gdybyśmy pokochali się właśnie tutaj?**
- Spojrzała na niego zdziwiona.**
- **O tak, bardzo niewłaściwym - odparła z uśmiechem.**
 - **Matka dwojga dzieci tak się nie zachowuje? -Nie.**

Wziął ją w ramiona.

- **Pozachowujmy się niewłaściwie.**

Obudziła się z zamyślenia, gdy ucichł silnik

jaguara. Zorientowanie się w sytuacji zabrało Sophie trochę czasu. Znajdowali się przed jej domem. Uwagę Sophie przyciągnął duży samochód. Pani Ridgeway, opiekunka, miała małe sportowe auto. Ten mógł należeć tylko do Vivian.

- Vivian wróciła. To jej samochód. Miała być w Vermont jeszcze dziesięć dni.

- Widać zdecydowała się wrócić wcześniej.

- Ale co robi w moim domu? Jest prawie północ. Idę zobaczyć.

- Nie denerwuj się. Na pewno nic się nie stało.

- Nie wiadomo. - Wsiadła z samochodu. -Dlaczego nie zostawiłam wiadomości, gdzie ma nas szukać w razie potrzeby?

- Bo nie wiedziałas - rzekł Jack, ale Sophie nie słyszała, biegła w stronę domu.

- Vivian! - krzyknęła.

Choć na parterze paliło się światło, nikogo tam nie było. Wbiegła na górę. W pokoju dzieciennym Vivian siedziała z Jenny na rękach w fotelu na biegunach.

- Sophie! - przyłożyła palce do ust. - Cśśś... Właśnie zasypia. Miała po południu lekką gorączkę, ale teraz spadła.

-Mamo... miałaś być w Vermont.

- Ale, dzięki Bogu, nie jestem. Przyleciałam

dziś rano, te autobusy przyprowadzają mnie o chorobę...

- A co z panią Ridgeway?

- Nie mam pojęcia, czy ma chorobę lokomocyjną. Gdy wróciłam i zobaczyłam, że Jenny źle się czuje, zwolniłam opiekunkę. Postanowiłam sama zająć się dziećmi.

Chyba się nie gniewasz? - Jenny nieustannie wierciła się na kolanach Vivian. -

Porozmawiajmy na dole. Zaraz do ciebie przyjdę, tylko położę Jenny do łóżka.

Sophie jeszcze waliło serce, gdy schodziła po schodach. Ostatnimi czasy była przewrażliwiona. Jack czekał na ganku. Trzymał ręce w kieszeniach.

-Ico?

- Wszystko w porządku. Vivian zdecydowała się wcześniej wrócić. Jenny miała gorączkę, więc zwolniła opiekunkę.

- Gdzie ona jest? - Patrzył w gwiazdy.

- Kładzie teraz Jenny spać.

- Co z Jenny? - Może powinniśmy... powinnaś wezwać lekarza?

- Temperatura już jej spada. Poczekam, zobaczę jak będzie rano.

- Jeśli trzeba zawieźć ją do doktora...

- Vivian może zostać z Jessiką. Nie martw się o nas.

„Romantyczność nie umarła, lecz czasem gdzieś znika” - pomyślał.

- Lepiej już pójdę - rzekł z nadzieją, że Sophie każe mu zostać.

Sophie skinęła głową.

- Tak będzie najlepiej. Vivian nic nie wie...

- Czego się boisz?

- Nie boję się. - Miała wyrzuty sumienia. Dziwiła się własnemu egoizmowi. Jak mogła tak pozostawić dzieci? - Muszę poświęcić trochę czasu dzieciom. One mnie potrzebują.

Jack przyciągnął ją do siebie.

- Jesteśmy teraz jednym - szepnął.

Muffin, po całym dniu samotności, był w wyjątkowo złym nastroju. Jack wypuścił go do ogrodu, po czym rozwinął na podłodze śpiwór. Posłanie nie sprawiało wrażenia komfortowego. Rozebrał się i rzucił rzeczy w kąt. Usiadł po tu-recku na śpiworze, wsłuchując się w ciszę. W domu było zimno, ponieważ poprzedniego dnia załatwił odłączenie gazu. Miał ochotę zadzwonić do Sophie, aby spytać o zdrowie Jenny, ale nie miał już telefonu. Przekąska o północy

dobrze by mu zrobiła, lecz i tego nie było. Czuł się tutaj niepotrzebny, jak gość, który nadużył cierpliwości gospodarza.

Spostrzegł list wetknięty do skrzynki na drzwiach. Nie chciało mu się wstać z ciepłego śpiwora. Wreszcie przemógł się i podszedł do drzwi. Był to telegram. Jack długo starał się nie zauważać istnienia świata. Poszedł do kuchni i otworzył nożem kopertę. Jeden z jego kalifornijskich znajomych zawiadamiał o angażu. Zaprzyjaźniony reżyser zaczynał kręcić film w... Turcji. Jego kaskader miał wypadek, więc prosił Jacka o przyjęcie oferty pracy. Położył telegram na stole. Wpuścił Muffina do domu, po czym przyglądał się, jak pies dreptał w kółko, a następnie wygodnie ułożył się na śpiworze.

Włożył z powrotem spodnie i poszedł do samochodu po koc. Wrócił do domu, zarzucił na siebie pled i usiadł w rogu pokoju. Patrzył na Muffina, wsłuchując się w jego miarowy oddech. Zastanawiał się co z Jenny. Pragnął, by Sophie potrzebowała go dziś w nocy. Pierwszy raz w życiu chciał czuć się komuś potrzebny. Postanowił rozwiązać ten problem.

ROZDZIAŁ 10

Sophie nie spała tej nocy. Coś ciążyło jej na żołądku i... na sercu. Często sprawdzała, czy Jenny śpi, lecz dziecko się nie przebudziło. Vivian mówiła, że nagły powrót gorączki jest normalny po różyczce.

Wyraziła również zadowolenie z urlopu, jaki sprawiła sobie synowa. Nie pytała o nic, a Sophie nie śpieszyła się z wyjaśnieniami. Teściowa szybko zmieniła temat, opowiadała zabawne historie z podróży autobusem. Nie rozśmieszyły jednak Sophie, nie udało się wyrwać jej z zamyślenia.

Rano Sophie wsadziła dziewczynki do kojca na podwórku i zaczęła przycinać róże. Nie założyła rękawic i nie zwróciła nawet na to uwagi, gdyby nie czerwone krople na dłoniach. Dziwne, że nie czuła bólu.

Nie czuła w ogóle nic. Ani winy, ani smutku. Ale uczucia te zbliżały się powoli do niej i nie mogła na to nic poradzić. Nie można ciągle uciekać przed nieuniknionym. Cuda się nie zdarzają. Jack dał jej wszystko, czego potrzebowała, lecz

zmuszanie go do czegokolwiek raniłoby ich oboje. Z drugiej strony, zależało jej na nim.

Spojrzała w stronę domu Jacka. Zachwyciły ją refleksy słońca na jaguarze. Uśmiechała się wyobrażając sobie dziewczynki na tylnym siedzeniu i tłuste odciski palców na drogiej, skórzanej tapicerce. Nie, to nie pasowało do stylu życia Jacka. Z pewnością nie był typem opiekuńczego tatusia.

„Co mam do zrobienia? Przyciąć żywopłot zanim spadnie śnieg; naprawić klamkę w piwnicznym oknie; wężę w ogrodzie; posprzątać podjazd; nie myśleć o tym, co straciłam”.

Gdy naprawiała okno, uczuła czyjś dotyk. Wstała powoli.

- Coś upuściłaś - rzekł Jack; Uśmiechał się. -Potrzebujesz pomocy?

- Nie! - odparła z nieoczekiwaną opryskliwością, lecz zaraz miękko dodała: -

Dziękuję, daję sobie świetnie radę.

- W porządku. - Nastąpiła długa niezręczna cisza. - Jak się czuje Jenny?

- Dobrze. - Wskazała w stronę kojca. - Jak widać, dzieci równie szybko zdrowieją, jak popadają w chorobę.

- Pięknie. Martwilem się. - Ich spojrzenia

spotkały się. - Wiem, że nie gram ostatnio swojej roli zbyt dobrze.

- Głowa do góry, to nie będzie trwało wiecznie.

- Muszę wyjechać.

- Wiem. - Jego słowa poruszyły ją, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Miałem na myśli... że zaraz wyjeżdżam. Wczoraj przyszedł telegram. Jeden z moich dobrych przyjaciół robi film w Turcji. Potrzebuje kaskadera.

- Rozumiem.

„Tylko Jack McMillan potrafi w mgnieniu oka przenieść się z Czarownego Lasku do Sztambułu. Typowe dla kaskadera. Jakież zabawne i bolesne” - myślała.

- Muszę przygotować się do wyjazdu. Mam do przejechania dwa i pół tysiąca kilometrów.

- Jak długo będziesz w Turcji?

- Pięć, może sześć tygodni. Ale wrócę, Sophie. Wrócę tak szybko jak...

- Nie wracaj... - szepnęła.

- Co? - Wydawało mu się, że się przesłyszał.

- Nie lubię pożegnań. - Zamknęła oczy. - Nasza przyszłość byłaby jednym długim pasmem rozstań.

- O czym ty mówisz? Nie przyszedłem powiedzieć „żegnaj”, tylko „do widzenia”. Kocham cię, Sophie.
- Ja też cię kocham. Zawsze cię kochałam. Ale ja należę do tego miejsca, do mojego domu, a ty... do świata.
- Potrzebuję cię - szepnął. - Jedź ze mną.
- Do Turcji? - Roześmiała się. -1 każdy z nas weźmie plecak z jednym dzieckiem? Dobrze wiesz, że nie mogę. Ja należę do moich dzieci, do domu. Wybrałam życie tutaj, gdzie nie grozi żadne niebezpieczeństwo, nie zdarzają się wypadki. Zupełnie odwrotnie niż w twoim życiu.
- Mój sposób na życie nie jest doskonały, wiem. Ale mógłby być lepszy. Musisz mi zaufać. Musisz dać mi czas na rozwiązanie...
- Posłuchaj, co mówisz - powiedziała załamującym się głosem. - Nie chcę być problemem do rozwiązania. Ani dla ciebie, ani dla nikogo.
- Nie mogę cię tak zostawić!
- Musisz! - Odwróciła głowę, by nie dostrzegł bólu w jej oczach. - Masz swoje życie i swój dom daleko stąd.
- A ty? Nie chcesz być w nim?
- Nie mogę. Moja rodzina jest tutaj. Tutaj jest moje miejsce.

Słowa raniły go do głębi. Miała rację. Cóż mógłby jej dać? Zawsze stał na straży własnej wolności. Dzięki temu nie miał nic do stracenia, ale i też nic do ofiarowania.

- Masz rację. Zbyt trudno mówi się „żegnaj”. Dbaj o siebie. Kocham cię.

Ukryła twarz w dłoniach, a łzy spływały między palcami.

- Żegnaj - szepnęła.

Jack jechał przez dwa dni, robiąc sobie tylko krótkie postoje. Najbardziej ucierpiał na tym Muffin. Kilka razy chorował i Jack zużył już cały zapas chusteczek higienicznych.

Pies szybko polubił dom na kalifornijskiej plaży. Były tutaj mewy, które próbował bezskutecznie łapać z głośnym ujadaniem. Mógł do woli biegać po piasku, straszyć ptaki i udawać groźnego obrońcę domu.

Przygotowując się do podróży do Turcji Jack wysłał wszystkie swoje rzeczy do pralni. Organizował party dla zabicia czasu, dzielącego go od wyjazdu, lecz nudził się wtedy jeszcze bardziej. Kiedyś bawiły go takie spotkania. Teraz wszystko się zmieniło. Kobiety wydawały mu się jednakowe, tak samo dobrze umalowane i zajęte

tylko sobą. Irytowały go. Pewnego razu słyszał, jak rozmawiały ze sobą dwie denione blondynki na temat negatywnego wpływu rodzenia dzieci:

- Figura nie jest już ta sama. Nie wiem, czy warto.**
- Tak, okropne. Zresztą, nawet jeżeli masz niańkę, twój czas nie należy już do ciebie.**
- Nigdy nie zdecyduję się na taki krok.**
- Szkoda na to czasu.**

Jack wypił tego wieczoru dość dużo. Wziął jedną z kobiet za rękę i wzniósł toast:

- Piję za wieczną bezpłodność pań.**

Po imprezie włączył automatyczną sekretarkę, która miała odbierać telefony w czasie jego pobytu w Turcji. Podróż powinna być ekscytująca; nowy kraj, nowe obyczaje, miejsca do zwiedzania... Zabije to nudę, ale czy tęsknotę?

Następnego dnia poszedł do lekarza na serię szczepionek przeciw chorobom tropikalnym. Jak zapewniał doktor, szczepionki nie powinny mu zaszkodzić, choć mogły wystąpić objawy uboczne.

Rzeczywiście, sześć godzin później Jack leżał w łóżku z workiem lodu na głowie. Czuł się gorzej niż obity pies. Dreszcze wstrząsały nim bezustannie. Miał zeszywniały kark i nogi oraz

zdrętwiały pośladek, w który zrobiono mu zastrzyki.

„Gdzie jest aspiryna? Gdzie jest cholerna aspiryna?”

-Potrzebuję pigulek - jęczał. Usiadł na łóżku, zrzucając na ziemię worek z lodem. -

Gdzie są tabletki? Do tego wszystkiego widzę podwójnie, dlaczego nie mogę znaleźć głupiej butelki...

Ktoś wcisnął mu do ręki opakowanie aspiryny.

- O tu jest, dziękuję.

- Bardzo proszę - powiedział Patryk. - Wyglądasz jak potępieniec.

Jack widział brata jak przez mgłę.

- Cześć. Czego tutaj szukasz? Dlaczego nie zadziałał alarm przeciwwłamaniowy?

- Ja również się cieszę, że cię widzę - odparł Patryk. - Alarmu nie włączyłeś. Nawet nie zamknąłeś drzwi.

Jack przełknął dwie tabletki bez popijania.

- A gdzie jest mój wierny pies obrońca? Dlaczego jeszcze nie rozszarpał cię na strzępy?

- Dałem mu trochę masła orzechowego. Język przykleił mu się do podniebienia. Za kilka dni może się odklei. - Patryk usiadł na łóżku i przyglądał się bratu z wyraźnie zde gustowaną miną.

- Byłem na obiedzie u Jeffa Rubina. Powiedział mi, że wróciłeś. Co tu robisz?
 - Mieszkam tutaj. A w tej chwili umieram. Mógłbyś przynieść mi butelkę coli z lodówki?
 - Masz kaca? Nieźle musiałeś popić.
 - Nie mam kaca! Jadę do Turcji!
 - Rozumiem. - Poprawił krawat w różowe kropki. - Mnie również by to gnębiło.
 - Nie jestem przygnębiony - jęknął Jack. - Jestem szczęśliwy. Nie mogę się doczekać tej podróży. Wiesz, jak lubię podróżować. Tańczyłbym z radości, gdyby szczepionki nie doprowadziły mnie do takiego stanu.
 - To dobrze, cieszę się, że nie jesteś przygnębiony. Chociaż powinieneś być, choćby z powodu twojego ptasiego mózdzku.
- Jack zajęczał i zwałił się z powrotem na poduszki.
- Pat, odejź. Nie rozumiem ani jednego słowa. Pozwól mi umrzeć w spokoju.
 - Zaraz zmykam. - Podniósł worek z lodem i położył niezbyt delikatnie na czole Jacka. - Z pewnych dziwnych powodów myślałem, że zamierzasz zrobić coś niesamowicie mądrego. Ale powinienem wiedzieć, że ty zawsze wybierasz

najtrudniejszą drogę. Przecież jesteś kaskaderem.

- Patryk, o czym ty mówisz?

- O Sophie Parrish - powiedział twardo.

- Nie chcę rozmawiać o Sophie. - Otworzył oczy.

- Nie musisz. Ja będę mówił, a ty słuchaj. -Zaczął przemierzać pokój jak adwokat podczas mowy obrończej. - Postaram się maksymalnie skrócić mój wywód, bo, jak mi wiadomo, zawsze miałaś niezwykle niską zdolność koncentracji. Nie rozumiem dlaczego opuściłaś Montanę. Dokładniej, dlaczego opuściłaś kobietę, w której jesteś zakochany! Nie mów, że syreni głos z Turcji tak cię zniewolił. Nigdy nie widziałem cię tak szczęśliwym jak w towarzystwie Sophie. Pierwszy raz w życiu troszczyłeś się o kogoś innego niż ty sam! To był dla mnie szok. Całkiem przyjemny szok. Prawdę mówiąc zostałem dłużej w Montanie, by nacieszyć się widokiem twojej niezwyklej przemiany.

- Skończyłaś? - mruknął Jack.

- Nie, do diabła... dopiero zaczynam. Zobacz co zrobiłaś; znowu zrzuciłaś lód. Siedź spokojnie i słuchaj. Gdy cię opuszczałem, wydawało mi się, że znam zakończenie tej historii. Ty, Sop-

hie i kochane bliźniaczki stworzycie zgodny kwartet. Powiedz mi co się stało?

- Podać ci płaszcz? Wychodzisz już?

- Jeszcze nie. Najpierw mi wyjaśnij, jak mogłeś podjąć tak głupią decyzję, by jechać do Turcji sam.

- Prosiłem ją, by jechała ze mną.

- Co? A ona bała się pozostawić dzieci i brać z tobą zastrzyki odpornościowe? Jak ona mogła?

- Było inaczej. Próbowałem na różne sposoby ją namówić.

- Prosząc, żeby pojechała?

- Nie. Prosząc, by czekała. Odmówiła. Nie chciała, bym poświęcił się dla niej.

- A ofiarowałeś jej to?

- Nie mam nic do zaoferowania, przecież wiesz. Jeżdżę po całym świecie i wymyślam coraz to nowe sposoby złamania karku. Nigdy nie wiem, co zrobię za miesiąc, za tydzień. Co może dać kobiecie z dwojgiem dzieci kaskader?

Patryk siedział bez słowa, patrząc na Jacka. Zastanawiał się, z jakiego powodu brat bardziej cierpi. Być może jest dla niego jakiś ratunek?

- Chcę, byś o czymś pomyślał - powiedział. -Na świecie nie ma rzeczy doskonałych. Skoro dopisało ci szczęście i znalazłeś jedną z nich,

warto chyba poświęcić wszystkie inne niedoskonałe rzeczy dla tej jednej. Jack roześmiał się.

- O czym ty mówisz? Poświęcić dom, życie i podążyć za głosem serca do Czarownego Lasku? A tam co jej zaofiaruję?

- Prawdopodobnie to, na czym najbardziej zależy kobiecie.

- To nie takie proste.

- Nieprawda, proste jak drut. Jeśli znajdziesz ładne kamyki, a potem zobaczysz piękny diament, to wyrzuć kamyki i podnieś diament. Zrozumiałeś metaforę?

- Może masz rację. Tylko co ja mam teraz zrobić? Chyba jestem bardziej chory, niż mi się zdawało. Powoli rozjaśniasz mi w głowie.

- Oczywiście. Ponieważ jestem od ciebie mądrzejszy.

- Bracie, co bym bez ciebie zrobił?

- Dobrze, dobrze. Co zamierzasz?

- Nie jestem pewien. Myślisz, że powinienem rzucić się pewnej kobiecie do stóp?

- Jesteś kaskaderem. Potrafisz przecież padać. - Patryk wyciągnął rękę. - Życzę szczęścia, braciszku. Możesz uważać się za nowo narodzonego.

Jack uściskał bratu dłoń i o mało nie wyskoczył ze skóry, kiedy kolejne dowcipne urządzenie brata poraziło go prądem.

- Do diabła, Pat, kiedy ty dorosnieiesz?

- Nie wiem. Nie znalazłem jeszcze swojego diamentu. Na razie bawię się kamyczkami. Sophie myślała o obcięciu włosów. Siedziała przed domem na ogrodowej huśtawce, trzymając szklankę mleka i pudełko czekoladek. Tak, jak postanowiła, koncentrowała się wyłącznie na rzeczach nieistotnych.

Trzeba kupić nowy pojemnik na śmieci, stary jest pogięty i przerdzewiały. Zaczyna robić się zimno. Powinna zakładać ciepłą bieliznę. Czy zapaliła nocną lampkę w pokoju dziecinnym? Jeśli nie, będzie płacz, kiedy Jessika obudzi się w środku nocy. Tęskniła za nim. Bardzo tęskniła.

Nie była głodna. Postawiła szklankę i czekoladki na stoliku. Zmarzła, więc zaczęła się bujać na huśtawce. Zawiasy skrzypiały. Powinna dawno je naoliwić.

Rzeczy do zrobienia: naoliwić zawiasy; napisać list do matki; przyszyć guzik przy kombine-

zonie Jessiki; przestać myśleć o zielonookim facecie...

- Czy to miejsce jest wolne? - usłyszała nagle. „Zdrzemnęłam się i miałam sen” - pomyślała.

Wydawało się jej, że widzi przed sobą Jacka. Otworzyła szerzej oczy.

- Nie będę przeszkadzał, jeśli się przysiądę? -zapytał Jack. Ponieważ nie odpowiadała, usiadł obok niej. Wziął ją za rękę i sprawdził puls. -Zdaje się, że żyjesz. To dodaje otuchy.

- To ty? - spytała, ciągle nie wierząc własnym oczom.

Skinął głową.

- Co tu robisz?

-Przyjechałem rzucić się... do twych stóp. Nie wiem jak to zrobić. Przywykłem pracować z pełną asekuracją.

- Nie rozumiem.

- Nie mogę żyć bez ciebie, Sophie. Wróciłem więc do domu.

- Do domu?

Jack uśmiechnął się serdecznie.

- Zakochałem się w tobie. W tobie, Jenny i Jessice... Stałyście się najjaśniejszą stroną mojego życia. Bez was... Nie mogę wyobrazić sobie życia bez was.

- **To nie ma najmniejszego sensu - powiedziała. Nadzieja i strach znów wtargnęły do jej serca. - Nie możesz zostać, przecież pracujesz.**
- **Nie warto.**
- **Nie, nie rób tego. Nie możesz się dla mnie poświęcać. Nie będziesz tutaj szczęśliwy. Nie porzucaj pracy, którą kochasz. Nie rób tego dla mnie.**
- **Babskie gadanie. Dwa długie tygodnie zabrało mi uporządkowanie priorytetów w moim życiu. Skakanie z płonących budynków dla czyjejś rozrywki jest na samym końcu listy. Nie poświęcam się dla ciebie. Wybieram najlepszą dla mnie drogę.**
- **Nie pozwolę ci na to... Pocałował ją mocno.**
- **Myślałem, że niczego się nie boję. Widocznie to, co ryzykowałem do tej pory, nie równało się z utratą ciebie. Gdy wyobraziłem sobie życie bez ciebie, przekonałem się, co to prawdziwy strach. Wiem teraz, do czego tęskniłem. Potrzebuję cię, rozumiesz? Serce biło Sophie jak oszalałe.**
- **Pewnego dnia - szepnęła - możesz zacząć żałować. Co będziesz tutaj robił? Jeżeli porzucisz pracę, czym się zajmiesz?**

Tak, to było trudne pytanie. Wymagało trudnej decyzji.

- Zamierzam przystąpić do rodzinnego interesu. Będę pracował z Patrykiem w sieci sklepów. Poprowadzę interesy w Montanie i Waszyngtonie. Trzeba będzie trochę podróżować, ale nie częściej niż kilka dni w miesiącu.

- A gdzie ryzyko, które tak lubisz?

- Wolę być szczęśliwym. Wstała.

- Nie pozwolę ci zostawić wszystkiego, co kochałeś. Nie chcę być przyczyną nieszczęścia. -Ruszyła w stronę domu.

Jack poszedł za nią. Znalazł ją w kuchni, ale uciekła mu. W końcu schwytał ją w salonie.

- Nie skończyliśmy jeszcze rozmawiać, Sophie.

- Puść moją rękę! - krzyknęła wyrywając się. -1 nie podnoś głosu, bp obudzisz dzieci!

- Jestem cicho jak trusia, kochanie. Myślałem, że znasz mnie. Jak wiesz, robię tylko to, na co mam ochotę.

- Ale ty nie wiesz... - Spojrzała przez okno. W świetle lampy ulicznej stał duży, rodzinny samochód.

- Czyj to samochód?

- Mój. To znaczy nasz. To samochód rodzinny.
 - Sprzedałeś jaguara? Twój wóz, twój wspaniały wóz?
 - Posłuchaj mnie. - Objął ją. - Nic nie straciłem, a zyskałem nadzieję. Zyskałem marzenia, przyszłość i miłość. Co w tym złego? -Nie wiem...
 - Odpowiedz tylko na jedno pytanie. - Czule pocałował Sophie, po czym odsunął ją od siebie i zajrzał głęboko w oczy. - Chcesz mnie?
- Napłynęły jej łzy do oczu.
- Chcę cię - odpowiedziała. - Nigdy nikogo nie pragnęłam tak jak ciebie.
 - Będziemy świetną parą.
- Sophie przepeliło uczucie spokoju i bezpieczeństwa. Wierzyła, że życie nie sprawi jej już żadnej przykrej niespodzianki.
- Witaj w domu - szepnęła.